



BYŁEM OŁNIERZEM PRL
pami ętnik

Autor i bohater pamiętnika: red. Wernyhora

Niniejsza publikacja nie może być modyfikowana ani odsprzedawana bez pisemnej zgody Wydawcy. Dozwolone jest jej kopiowanie, dystrybucja bezpłatna (na licencji freeware) oraz druk na papierze w dowolnej liczbie egzemplarzy.

Byłem ołnierzem PRL

Peerelowskie beztroskie lata

Początek lat sześćdziesiątych to okres, w którym uczęszczałem do przedszkola mieszczącego się w budynku dawnego zakładu w Boromeusza, jeszcze prowadzonego przez siostry zakonne. Bodajże 2 lata później odebrano siostrze przywilej prowadzenia placówki.

- Pamiętam doskonale habity sióstr przepasane białym linkiem, jednak każdy z nas najbardziej obawiał się kary kluczenia na woreczku grochu. Karano często. Ja sam siedziałem kiedyś w „ciemnicy”. Było to pomieszczenie chyba gospodarcze, niedaleko kuchni, gdzie prowadzono delikwenta, aby go ukarać. To właśnie nie w tym przedszkolu nauczono nas pieśni „Kiedy to Jezus chodził po świecie”. Gdziekolwiek byłem, a przypadkowo słyszałem te strofy - zawsze przed oczami miałem przedszkole przy ul. Sukienników.

Do dzisiaj odczuwam respekt do nieżyjącej pani Cz. Samą swoją posturą i tubalnym głosem powodowała drżenie dziecięcych serc. Zapamiętałem, ale to było już po tym jak nie było sióstr, a przedszkole przeszło we władanie, i odwiedzał nas nie gwiazdor, a Dziadek Mróz wraz z tajemniczym Królem niegu. I ogromna choinka do samego sufitu, przy której każdy z nas miał obowiązkowo wykonane pamiętkowe zdjęcie.

Sentymentem darzyłem i cięgle darzącej mnie pani wychowawczyni o wdziacznym imieniu Halinka. Tak ją polubiłem, a ona nas. Jejeli jeszcze żyje i bymoże przeczyta te słowa – to proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Często jako kilkuletni malec doznawałem wstrząsu na widok rannych koni ciągnących furi z węgłem. Stronny podjazd na wysokość obecnego placu w Jerzego okazywał się dla zwierząt zabójczy. Szczególnie w zimie, na liskiej kostce granitowej zwierzęta łamały nogi. Na nic zdały się pohukiwania zdenerwowanych wozaków, a matka zakrywała mi oczy, by oszczędzić mi widoku rannych zwierząt.

Po szkole...

Kiedy zacząłem uczęszczać do szkoły Podstawowej nr 2 miałem znacznie więcej okazji, aby poznać miasto. Było to na tyle dziwne, ale miało dobre strony, a szkołę miałem po drugiej stronie ulicy, niedaleko miejsca zamieszkania, a mimo to zostałem przydzielony do mieszczącej się po drugiej stronie miasta.

Zapami tałem dobrze nieistniej c obecnie mleczarni w pobli u Szkoły Podstawowej nr 1, gdzie cz sto z kolegami obserwowałem wyładunek olbrzymich konwi z mlekiem. Niekiedy pracownicy dali nam mo liwo s płukania gumowym w em rampy, z której odbywał si wyładunek. W nagrod ka dy z nas mógł napi si mleka do woli.

Na placu Piastowskim znajdowała si stacja paliw. Ona te stanowiła powód naszego zainteresowania. Mo na było niekiedy w specjalnej ba ce wymiesza olej z benzyn stanowi c paliwo do motorowerów „ aków” czy „Rysiów” Niekiedy osobi cie mogłem nala do baku przyrz dzon mieszank . Matka troch nieprzychylnie odnosiła si do tego, z powodu tłustych plam i zapachu benzyny.

O wiele wi ksz atrakcj stanowiła remiza stra acka usytuowana w miejscu obecnego hotelu, tu obok zaczynaj cej si ulicy Prochowej.

To był inny wiat, rzadko przez nas ogl dany. Same wra enie robiła ju remiza, z pot nymi bramami, a w niej poczciwe „Stary” w niczym nie przypominaj ce obecnych bojowych wozów Stra y Po arnej. Próby odpalania pomp stra ackich na placu nie ko czyły si powodzeniem. Ale gdy zaskoczyła jej brum... brum... w naszych uszach brzmiało jak pi kna muzyka. Mieszka cy pobliskich domów mówili nam, e jest to silnik od „Syrenki”, ale my wówczas o tym nie mieli my zielonego poj cia. Fascynowała nas motoryzacja. Jak na dziesi ciolatków wystarczaj co dobrze. Szczytem naszych zainteresowa było mycie „Adlera” i skuteru „Osa” - westchnienia naszych marze . Nieraz marzenie to realizowało si w postaci przeja d ki z s siadem, do którego pojazd nale ał.

Zapominali my o bo ym wiecie. Dopiero nerwowe wołanie mamy:

- Poczekaj powiem ojcu – sprowadzało nas do rzeczywisto ci.

W czasach mojego dzieci stwa niejako do naszych obowi zków nale ało robienie zakupów, nie rodzinie, ale s siadowi. Bez adnego sprzeciwu kupowało im si w kance mleko, po drodze popijane, czy chleb z odłupuj c skórk , czy podjadaj c po drodze kapust kiszon . Niekiedy jak si miało tzw. „farta” dostawało si złotych . A to ju było na co wyda . Łezka si w oku kr ci na wspomnienie tego.

Niedaleko młynów na obecnej ul. Piłsudskiego znajdował si „Ogródek Jordanowski” miejsce rozgrywania meczy piłki no nej i szale czej jazdy na karuzeli. Spotykała si tam starsza młodzie , traktuj ca z góry małych. Lecz z tego powodu wi kszych zatargów nie było.



W przedszkolu zawarłem bliźniaczki, z korzycki dla mnie znajomo z Dziadkiem Mrozem i Królową Niedźwiedzi. w. Mikołaj popadł w niełaski ówczesnych władz. (zdjęcie z archiwum Autora)

Punktem podwórkowego spędzania czasu było udanie się na tzw. „Pacht”. To nic innego jak poczucie stunek z czyjegoś sadu, tyle, że bez przyzwolenia właściciela. Pachtowało się z kulturą wg zasady: rwiesz ile zjesz. Bez żadnego złośliwego niszczenia pozostało ci ogrodu. Niejeden z nas zwracał drugiemu uwagę, aby nie podeptał trawnika. Również w ten sposób jabłka,śliwkę, agrest czy truskawki. Jednak największym trofeum były orzechy włoskie rosnące w pobliżu boiska Szkoły Podstawowej nr 3.

Miały jednak negatywny charakter. Łupiny brudziły ręce na brzoś. Trudno to było usunąć, a trzeba było, gdy stanowiły wyraźny dowód wieczornej eskapady. Nieraz z tego powodu, po przyjęciu matki wezwanej do szkoły obrywało się tęgibaty.

Ulubionymi ogrodami naszych odwiedzin były sady w miejscu dzisiejszego osiedla „Spółdzielczego” oraz ogród siadający z posesją dr Łukowicza przy ulicy Piłsudskiego.

Niekiedy czystowano się owocami z ogrodów przy ulicy Towarowej.

Wielką atrakcją dla nas sztabaków były transporty wojskowe armii radzieckiej. Na dworcu z dzielnymi żołnierzami niepokonanej Armii Czerwonej wymieniało się cokolwiek dało się wymienić. Ja sam posiadałem kilka odznaczeń i emblematów wojskowych, a także 5 litrową puszkę... marmolady. Otrzymałem to wszystko w

zamian za par drobiazgów. Kolega znacznie od nas starszy wycygał pi kny zegarek w zamian za zdj cia pa roznegli owanych. Chodził dumny jak paw, a wszyscy mu zazdro cili.

Tak jak i dzisiaj lubimy zajada si lodami, tak i my to robili my. Na pocz tku lat sze dziesi tych nie było lodów innych jak gałkowych nabieranych z termosów. Bardzo smakowały nam lody z cukierni Jednoralskiego i Odejewskiego. Równie dobre mo na było skonsumowa w „Cristalu” Falkowskiego czy cukierni Guentzla. Swoja lodow wytwórni posiadały PSS - y zlokalizowan w pobli u ul. Kr tej. W tej ostatniej cz sto mo na było załapa si na darmowe lody zawsze wtedy, kiedy zachodziła konieczno zanieśienia pełnych termosów do sklepu. Dopiero znacznie pó niej pojawienie si lodów „Calypso” czy „Bambino” znacznie ograniczyło nasz pomoc. Zacz li my nosi szare kartony z chłodni do sklepu. Pierwszy kiosk „Krakus” sprzedaj cy te lodowe delicje był na ul. wierzewskiego, a prowadzony był przez rodzin Kolasa.

Zabawy nie zawsze fortunne...

Zima to szczególny okres daj cy upust naszej fantazji. Szczególnie, gdy były mro ne i nie ne. Ka dy z podwórkowej ferajny miał osobliwy pojazd zwany bojerem z ruchom kierownic . Zbite deski z dwoma tylnymi ły wami i z trzeci przy ruchomej pseudo kierownicy. Lepsze modele, a zale ało to od wyobra ni wła ciciela obite były derm i posiadały o wietlenie zasilane płask bateri . Szybko ci i zwrotno ci wyprzedzały sanki o cał epok . Je dziło si nimi z obecnego Wzgórza Ewangelickiego, w miejscu gdzie obecnie znajduje si budynek Domu Kultury w kierunku Parku Tysi clecia, lawiruj c w ród przechodniów. Wielk frajd było podczepienie si do chłopskich sa , mimo realnego zagro enia razów batem. Zmor rodziców były ły wy. Pocz tkowo mocowane na tzw. „gwinty” Te miały jednak t zalet , e niemiłosiernie niszczyły obcasy rozłupuj c je doszcz tnie. Pojawienie si ły ew na „blaszki” montowane przez szewca stanowiło powód do dumy w poł czeniu z kluczykiem do ły ew. Poci gała nas budowla nie nych bunkrów. Mozolnie lepione, zadaszone z wej ciem i widokiem na najbli sz okolic . Cz sto polewane wod pod wpływem mrozu zamieniały si w prawdziwe fortece, przy których toczyły si nie ne batalie, cz sto zako czone rykiem trafionego w głow przeciwnika. Wtedy sytuacja stawała si o wiele gro niejsza, szczególnie, gdy na horyzoncie nadci gała odsiecz w postaci mamy poszkodowanego. Na ły wy chodzili my nad stawy mieszcz ce si w okolicy dzisiejszego parkingu przy markecie „Kaufland” i do czasu zorganizowania lodowiska lizgali my si na stawie zwanym „M dz ” w Parku Tysi clecia.

Podczas wiosennych roztopów park zamieniał si w wielkie jezioro. Pływali my na krze odpychaj c si kijami. Ja pewnego razu pływałem na mostku drewnianym

porwanym przez wezbrane wody. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia wynikającego z takiej zabawy. Na szczęście nigdy nikomu nic się nie stało, jeżeli nie liczyć całkowitego zmoczenia od stóp po...kolana.



Byłoby moje proste nogi bardziej powodem mojej dumy przyczyniły się do tego, i stąd odbywałem w Kompanii Reprezentacyjnej Marynarki Wojennej. (zdjęcie z archiwum Autora)

Staw przyciągał nas praktycznie co roku. Pewnego lata wraz z starszymi od nas kolegami z podwórka zaczęliśmy łowi ryby metodą ...ogłuszania. Polegała ona na wsypaniu do butelki po oranadzie karbidu i wlaniu wody i szczelnym zamknięciu w oczekiwaniu na rezultat. Nie pamiętam, aby ta metoda przyniosła oczekiwany skutek. Ja w każdym razie nie doczekałem się wybuchu. Za to waliło i to jak z armaty przy strzelaniu z puszką po farbie. Aby zwiększyć efekt strzału chodziliśmy pod drugi wiadukt przy ul. Lichnowskiej. Do puszkę wkładaliśmy kawałek karbidu, polewaliśmy wodą z kałami i szczelnie zaciskaliśmy wieczko. W dolnym z dziurki przykładaliśmy zapaloną zapalniczkę. Aby nie gasła na wietrze, kupowaliśmy zapalniczki „Sztormowe” Rozległ się wybuch jak z armaty, a my bacznie uważaliśmy na kolejarzy zwalczających milicję i zjadliwie zwalczających nasze praktyki. Nieraz salwowaliśmy się ucieczką na pola w kierunku Czarnej drogi, ale tam już nie mieli szans nas dogonić. Nie wiem jak to się stało, ale rodziców odwiedził nasz dzielnicowy, ten sam,

który kilka lat później zabronił nam słuchania Radia Luxemburg z powodu muzyki, jak określił anglosaskiej. I to dzięki niemu zaczęło się moje strzelanie pod mostem. Potrzeba jest materiałów wynalazków. Wkrótce podwórce rozbrzmiewało kanonadą, a strzelano z „klucza”, do którego sypano siarkę. Otwór zamykano gwoździem na sznurku. Uderzało się o ciany i rozlegało się buuumm. Nie tak donośnie jak z karbidu, ale wystarczało. Miało to swój dobrzy strzał, a całe uzbrojenie mieściło się w kieszeni harcerskich spodnek.

Graliśmy natomiast w pieniądze na „murek”. Uderzało się monetami różnymi metodami. Prosto, z kancika. W miejscu gdzie upadła kolegi i moja mierzyło się palcami. Jeżeli palce twojej i jego monety się pokrywały kasowałeś wygraną, przy sprzeczności kolegi mającego jeszcze nadzieję wydmuchał spod palca monetę. Zyskiwał jedynie piasek w grzybie, bo trzymało się monet mocno, na tyle, że już czuło się je posiadaczem.

Różne były metody gry np.: „dołek”, ale nam najbardziej odpowiadał murek. Podobnie było z grą w noża. Na zarysowanym okręgu na ziemi stosowało się różne techniki takie jak: z łokcia, palca, ust czy głowy. Moje pokolenie nie ma problemu z określeniem zasad gry.

Ciekawą i jednocześnie nieciganowską przez milicję zabawą było pokazywanie cytryny orkiestrze usytuowanej przy trybunie honorowej w miejscu obecnej płyty pamięci przy ul. Sukienników, podczas uroczystości pierwszomajowych. Z cytrynami były kłopoty z racji tego, że wtedy nie było ich praktycznie w sprzedaży. Ale i na to znaleźli my sposób. Szwagier naszego kolegi pływał na promie i to on dowoził cytryny. Chociaż raz narobiliśmy niezłego zamieszania urywając do tego celu plastikowej atrapy ludzko podobnej do oryginału. Dziwna rzecz, ale wtedy owoców z tworzywa sztucznego nie brakowało. Były i winogrona białe i czarne, jabłka i gruszki. Z tymi cytrynami było tak:

Pół przekrojonej cytryny brało się w rękę. Należało stać naprzeciwko orkiestry. Najlepiej, gdy był to trębacz, albo puzonista. Patrzył mu w oczy wyciskało się powoli wycigniętej ręce cytryny i w...nogi. Jak później opowiadali koledzy, a i sam widziałem – oczy muzyka robiły się duże ze zdziwienia. Po chwili dziki wyraz twarzy i odjęcie ust od instrumentu w celu splunięcia nagromadzonej liny powodowało w ciekłej reakcji kapelmistrza. Nigdy nikomu na tym procederze nie udało się nas złapać.

W okresie letnim wyprawa z rodzicami do Charzykowa była traktowana na równi z wycieczką. Od samego rana trwało przygotowywanie bułek, pomidorów i nieśmiertelnych jajek owijanych w gazetę. Do tego butelki wody z sokiem i jazda na przystanek. Wtedy to bilet sprzedawał konduktor i z namaszczeniem godnym mistrza dziurkował je ręcznym kasownikiem. Pamiętam, że jeden z konduktorów nazywał się Brauer Jan.

Zawsze jadąc w kierunku Charzyków zadawałem sobie pytanie: - zmieści się tym

razem czy te nie?. Chodziło mi o przejazd autobusem przez Bramę Człuchowską. Widocznie mnie cił się i to dobrze, bowiem nie pamiętam, aby kiedykolwiek pojazd uderzył w basztę.

Sama miejscowość wypełniała się mieszczuchami spragnionych słodką wodą. Rzuciły się w oczy kolorowe chusty kolonistów, których tu było bez liku. Wieczorem zmęczeni po całym dniu i staniem w kolejce po lody, siedzieliśmy w autobusie jak ledzie w beczce turlali się do Chojnic. Co chwila tubalny głos konduktora, a były i konduktorki oznajmiały: „Osady Bytowskie” wysiada ...

Czaszkowe dylematy...

Lata były upalne, przeplatane słoneczne dni krótkimi burzami były beztrudne. Pierwszy miesiąc wakacji to przeważnie kolonie w różnych rejonach kraju. Pozostałe dni spędzane w mieście. Człysto spędzaliśmy wolny czas w parku na obecnym Wzgórzu Ewangelickim w pobliżu fontanny usytuowanej w pobliżu drugich schodków na skarpie. Mimo, iż była nieczynna znalazła się odwarstwiona kora zielonej wodzie pozostałej po deszczu. W pobliskich krzakach można było się natknąć na kamienne obramowania grobów wystających spod ziemi. Wtedy dowiedzieliśmy się, że był to cmentarz ewangelicki. Podczas budowy Kino – Teatru w powstających wykopach spychacze odsłaniały rzędy trumien. Jako chłopak miałem okazję być świadkiem otwierania trumien przez pracowników. Wielu pogrzebanych po otwarciu wyglądało tak, jakby byli niedawno pochowani. Pamiętam doskonale zachowane szaty i stan zwłok. Wiąski szczątków ładowano na przyczepy i wywożono w kierunku ul. Kościuskiej. Czaszki i piszczele wały się wszędzie. Kiedyś z nas miał swój czaszkę ku ogromnemu przerażeniu rodziców, którzy zmusili nas do odniesienia w miejsce spoczynku.

To była moja druga czaszka we władaniu. Pierwszą zabrałem sobie podczas prac wykopaliskowych prowadzonych wokół kościoła farnego. Wiąski strach w nas budził ks. Proboszcz Lis, gdzie spotkanie z nim będzie nosił w pamięci do końca życia. Ale o tym za chwilę. Po dwóch dniach odniosłem ją tam skąd wziąłem. Z tymi czaszkami to była dziwna sprawa. Co nas do nich cięgnęło. Próbowaliśmy tak je zdobyć na cmentarzu pomieckim znajdującym się w pobliżu dzisiejszego hotelu „Olimp” Tam byliśmy przeganiani przez krępkiego staruszkę doglądającego cmentarza. Szwargotał on po niemiecku, mimo, że nic z tego nie rozumieliśmy dali nam sobie szybko spokój. Dzisiaj myślimy, że nie były to żadne zapędy satanistyczne, bo zjawisko nam było całkowicie obce, a jedynym jako takim znanym przedstawicielem władcy Lucyfera był diabeł Boruta z Łęczycy, o którym to słyszeliśmy z opowiadań rodziców. Myślimy, że nas jako kilkuletnich chłopaków bawiło przerażenie siedzących na widok pokazywanej czaszki. Dzisiaj wiem, że były to zagrania niskiego lotu.

Cz sto rozmawiałem z siostr Wojciech . Nie wiem czy było to jej prawdziwe imię czy te nie. Zajmowała się ona niesieniem pomocy medycznej. To właśnie ona cz sto zaklejała mi kolana pozdzierane podczas letnich dni. Polubiła mnie, a ja ją . Dobrze znała się z moją babką , z którą lubiła na ulicy uci sobie dłu sz pogawędki . Zawsze będę ją pamiętał. Jej czarny habit, i jej badawcze spojrzenie, przed którym nie dało się kłamać .



*Na wakacjach nad Zalewem Siedleckim, przed wcieleniem do wojska. Lipiec 1976 r.
(zdjęcie z archiwum Autora)*

Będąc po przyjęciu pierwszej komunii świętej, cz sto uczyszczałem do kościoła i spowiedzi. Nie z potrzeby ducha, a raczej z poczucia chłopi czego obowiazku. Pewnego letniego dnia w kościele panował miły chłodek, drzwi do wityny były otwarte na oścież . Wraz z grupą kolegów staliśmy w kolejce do spowiedzi. Nagle w środku pojawił się mały kundel, którego szczekanie niesło się echem pod samym sklepieniem. Nie wiem co mnie tknęło, ale odezwałem się do kolegi stojącego przede mną w te słowa: - To proboszcz tak wrzeszczy(na myli miałem psi jazgot) na Krzyżka, za jego grzechy. Słyszycie te słowa dostał spazmatycznego miechu, a ja razem z nim. Bolały nas brzuchy z rozbawienia. Nagle jak spod ziemi pojawiła się wyniosła postać proboszcza Lisa, purpurowego ze złości na twarzy. Nic nie mówiąc, sycząc ze złości złapał mnie za ucho, mojego kompana też wyciągnął nas za uszy z kościoła. Na zewnątrz udzielił nam reprimendy. Słuchaliśmy jej w nabożnym skupieniu przyrzekając poprawę . Zaświadał abyśmy osobiście stanęli u niego do spowiedzi. W obawie przed zbyt wielką pokutą nigdy nie wyspiewaliśmy my się u niego. Unikaliśmy go jak ognia, na tyle skutecznie, że nigdy już potem nie stanęliśmy z nim oko w oko.

Lata szkolne nie wyróżniały się niczym szczególnym, poza manię grania w piłkę

no n . Szczeniackie wygłupy odeszły w zapomnienie na rzecz podwórkowych mistrzostw wiata w piłce no nej.

Bez w tpienia było to zasług naszej reprezentacji piłkarskiej, która swoj postaw w 1974 r. w RFN spowodowała, i wszystkich ogarn ł piłkarski amok. Mimo swoich 17 lat czułem si jak stary piłkarski wyga, co to niejednemu bramk strzelił. A strzelano i to ostro ku rozpaczy bramkarzy, którzy dwoili si i troili by ratowa piłkarski honor. Korzystałem z wolnego czasu do woli, od rana do wieczora, a e nauka nie sprawiała mi trudno ci to lekcji w zasadzie nie odrabiałem, a ka dy powrót z boiska ko czył si cz sto przysłowiowym kamiennym snem. Natomiast ka da szkolna wywiadówka na temat mój ko czyła si niezmiennym wywodem:

- Zdolny, ale le .

Była to wi ta prawda, a, e wi ci garnków nie lepi i pomny na swój upór reprezentowałem postaw niezmienn , cho znacz cych piłkarskich sukcesów nie osi gn łem.

U progu dorosłego ycia...

Mijał dzie za dniem, miesi c za miesi cem i ani si nie obejrzałem rozpocz łem 19 rok istnienia na ziemskim padole, jak si wkrótce przekonałem przełomowy w moim dotychczasowym i spokojnym yciu.

Którego dnia, a było to po tym, jak zacz łem pierwsz prac w najwi kszym zakładzie przemysłowym miasta „Mostostalu”, po przyj ciu z drugiej zmiany czekała na mnie niespodzianka w postaci wezwania na komisj poborow . Nie przeraziło mnie to jednak, a ja sam nie widziałem powodu, aby miga si od słu by wojskowej. Słyszałem wcz niej opowie ci starszych kolegów o przebiegu ich słu by w Ludowym Wojsku Polskim. Nie były one optymistyczne, ale i nie były tragiczne, a niekiedy powodowały moj wesoło . Sam z natury usposobiony do ycia byłem raczej optymistycznie nie wyobra ałem sobie „fali” i „rezerwy”, a có dopiero przysi gi. Do dnia wezwania na komisj nie zaprz tałem sobie tym głowy, chocia pod wiadomie czułem, ze czeka mnie co dotychczas niespotykanego. Kiedy nadszedł czas stawiennictwa, wraz z grup moich podwórkowych kolegów, z których wi kszo miała pełne portki strachu udali my si do Domu Kultury przy ul. Grunwaldzkiej, gdzie na czas poboru zainstalowała si komisja. Ju z daleka zobaczy mo na było grupki młodzie y, otaczaj cej niewielki placyk przed budynkiem. Kilku z nich z r koma w kieszeni pozuj c na nic sobie nie robi cych w zwi zku z zaistniał sytuacj , paliło papierosy, co chwila wybuchaj c gromkim miechem. Obserwuj c ich wiedziałem, e pod mask beztroskiego miechu czał si w nich l k. Wida to było po moich towarzyszach, którzy ju po drodze dawali mi do zrozumienia co my l na temat wojska i czekaj cej ich słu by.

- K... wa to dwa lata wyrwane z yciorysu

Szeptn ł mi do ucha jeden z nich, kiedy po schodach wyło onych szarym lastrykiem maszerowali my na pierwsze pi tro, gdzie urz dowala rejestracja przyszłych obro ców Ojczyzny. Długi korytarz na pi trze z szeregiem drzwi, z których jedne otwarte na o cie . To wła nie z nich wytoczył si t gi jegomo w zielonym mundurze. Na naszywkach zdaje si miał gwiazdki.

- Chyba kapitan – odezwał si jeden z nas

– Tak, ale Kloss – dodałem

Całe korytarzowe bractwo wybuchło gromkim miechem. Atmosfera niepewno ci jakby zel ała i ka dy z nas poczuł si znacznie lepiej. W ród chwilowej beztroski dal si słysze piskliwy damski głosik:

- Panowie...panowie prosz o pół tonu ciszej – dobiegło nas z pokoju z otartymi drzwiami. W ród m skich głosów, bo przecie ka dy z nas miał uko czone 19 lat cienki damski dyszkancik zabrzmiał jak głos z innego wiata. Ju nie wybuchy miechu, a dziki ryk rozbawienia wstrz sn ł cianami korytarza. Z trzaskiem otworzyły si nast pne drzwi, pojawił si wielki brzuch opi ty szerokim skórzanym pasem, a po chwili jego wła ciciel. Mógł mie nie wi cej ni 30 lat, ale jego „mi sie piwny” był zaiste imponuj cy.

- No co jest poborowi – rykn ł robi c si czerwony na twarzy.

- Ju niedługo b dziecko płaka i zapewniam, e nie ze miechu – dodał ju nieco ciszej omiataj c nas wzrokiem.

Nie wiem jak to si stało, czy mo e który z nas ze strachu, a mo e wiadomie w tym dla nas tak doniosłym momencie gło no pu cił b ka. Nad ta aba, bo takiego mi ów osobnik w stopniu sier anta przypominał, zrobił si zielony na twarzy jak kolor jego munduru, by po chwili oblec si w purpur i dopiero jak nie wrza nie:

- Jaja sobie robicie!... ju niedługo woda wam si w d...pie zagotuje...a pierdzie b dziecko z wysiłku...k...wa jego ma – zakł ł na odchodne trzasn wszy drzwiami.

Zapadła grobowa cisza. Chciało mi si mia , bo jako nie mogłem sobie wyobrazi jak mi si ta woda zagotuje i dlaczego mam pierdzie z wysiłku. Na dalsze rozmy lania nie było czasu, bo ju zacz to woła nas po nazwisku. Na d wi k swojego miało wkroczyłem do sali z dwoma wielkimi oknami, przesłoni tych szarosiwymi od tytoniowego dymu firanami. Podobnego koloru był wytarty parkiet z drewnianych klepek. Stoły ustawione w podkow obleczone zielonym płótnem podkre li miały ich wojskowy charakter, chocia bardziej przypominało to mi o l ł czk . Za nimi siedziało trzech wojskowych. Pierwszy z brzegu rzucił krotko:

- Imi i nazwisko – zanim zd yłem odpowiedzie wynotował co z mojego dowodu osobistego i gestem reki przekazał mnie wcze niej poznanej na korytarzu „ abie”.

- Gdzie chcecie słu y – warkn ł krotko. Wkurzył mnie takim potraktowaniem

dogł bnie.

- Poczekaj – pomyślałem i z głupia frant odparłem:

- Jak to gdzie? W wojsku!

- Wy mi tu ze mnie głupka nie róbcie...jasne?... wysyczał przez z by.

- Wiadomo, e w wojsku a nie u proboszcza na plebanii – rozumiecie! – warknął gło niej i dodał: - w jakiej formacji?...

- Co mam nie rozumie - odparłem ... mnie tam oboj tne...wa ne, aby to mie ju za sob – dodałem patrz c mu odwa nie w oczy.

- Podobacie mi si poborowy – co zanotował w kartotece i kazał mi si przesun w kierunku chudego blond wymoczka z zasadniczej słu by, o czym wiadczyły jego kapraleskie belki na pagonach.. Wymoczek spojrział na mnie oczami zganionego psa, podrapał si po krotko obstrzy onych blond włosach, a raczej po tym, co z nich pozostało i odezwał si jak na jego postur nadzwyczaj gło no:

- Chcecie odda krew?

Co tam słyszałem wcz nie o idei honorowego krwiodawstwa, ale szczegółów nie znałem.

- No wiecie – rzucił widz c moje wahanie – dostaniecie za to dzie wolny od pracy i dobrze b dzie widziane to w wojsku.

- Raz kozie mier ... i podpisałem na siebie wyrok na małym karteluszk, który niepostrze enie podsun ł mi pod nos.

– Ale krew oddacie po zbadaniu przez lekarza i na podstawie tego dostaniecie kategori - zdolny lub nie... chocia tej ostatniej raczej tu si nie otrzymuje.

Nie słuchałem jego wywodów, bo ju poganiany przez młodziutk piel gniark znalazłem si jeszcze na wi kszej sali od tej, w której nie tak dawno przebywałem.

Była to sala widowiskowa, o czym wiadczyła jej rozmiary. Za pojedynczymi stołami w wi kszo ci siedzieli lekarze wojskowi. Mój wzrok przyci gn ła grupa moich rówie ników zbity w gromadk niczym stado przera onych baranów. Na sobie, poza czarnymi sportowymi spodenkami, które wprawdzie bardziej przypominały staromodne pantalone nie mieli nic. Zacz ło mnie to mieszy , tote z uwag k tem oka ły pałem na zzi bni tych golasów. Nagle na d wi k wywołanego nazwiska grupa zafalowała i zaczęła wypuszcza poszczególnych delikwentów. Komiczny to był widok. Ka dy z nich zatrzymał si przy pierwszym stoliku za którym siedział lekarz wojskowy. Nagle padła komenda:

- Podnosimy lew nog ...teraz praw .

Wszyscy z badanych poruszali si jak ta cz cy nied wied w cyrku, by po chwili znale si przy drugim stoliku.

Słysza było: - otworzy usta... pokaza j zyk...stan prosto!

Po krótkich ogl dzinach nie wył czaj c pleców, przesun li si w kierunku ostatniego stolika. Za nim zasiadała czarnowłosa pi kno oraz starsza mo e czterdziestoletnia przera liwie chuda blondyna. Musiała by to lekarka, bowiem czarnowłosa z wyra nym respektem wykonywała jej polecenia. To wła nie ona, głosem nie znosz cym sprzeciwu rozkazała:

- Spodenki do kolan opu ci .

Zapanowała konsternacja po ród badanych. Jak na razie nie znalazł si odwa ny do wykonania polecenia.

- Czy nie wyra am si do jasno? – rzuciła po chwili.

- No jak zdj majtki? – odezwał si jeden z odwa nych.

- No chyba nie b dziecie ich ci ga przez głow – odezwała si milcz ca do tej pory chuda blondyna.

- No szybciej...szybciej nie ma czasu...czekaj jeszcze inni.

Sam byłem ciekawy co z tego wyniknie. Próby pokazania przyrodzenia szły opornie, co te wydawało mi si zrozumiałe, ale nie docierało to do mnie, e i ja za chwil zostan postawiony przed faktem dokonanym. Powoli z oci ganiem kilku z nich zacz ło powoli zsuwa spodenki, natychmiast zakrywaj c dło mi swoje przyrodzenie.

- Co jest panowie – rozległo si naraz.

- Jak ja mam oceni czy macie wszystko w porz dku.

- No r czki w dół – to mówiła starsza z kobiet. – No ju ...ju niecierpliwiła si coraz bardziej.

Powoli z oci ganiem odsłaniali swoje przyrodzenia. Stałem z boku po lewej stronie sali. Nie wytrzymałem i parskn łem miechem. Widok był komiczny. Gdy stali tak w szeregu ich przyrodzenia zwisaj ce przypominały mi kurze szyje, którym obci to głowy. Mój miech zwrócił uwag czarnowłosej która strzeliła na mnie wzrokiem. Gdyby miał sił ra enia pewnie le ałbym trupem.

- No bratku – odezwała si do mnie... potrzebujesz specjalnego zaproszenia.

- Kto ja? - zapytałem z głupia frant...

- Tak, ja nie pan nie rozumie?

Rozumiałem i to dobrze, ale próbowałem zaprotestowa .

- Ale ja jeszcze nie byłem na tych badaniach – powiedziałem pokazuj c palcem w kierunku pierwszego stołu.

- Nie szkodzi – usłyszałem... pójdziesz na nie po tym badaniu.

Rad nie rad zbliżyłem się do nich, idąc jak ofiara w stronę kata. Wiedziałem, że i ja nie obejść się bez oglądania moich klejnotów, jakby to one decydowały o sile bojowej naszej armii. Zbliżyłem się do nich pomyślałem, że może je zbije z pantafelów próbnym jakiegoś wybiegu. Nic z tego. Jeszcze się dobrze nie zbliżyłem, a już miałem gacie na wysokość kostek od nóg. – No będzie dobry z was żołnierz, bo odwaga a bije w oczy – powiedziała wychudzona blondyna zerkając na moje jestestwo, które o dziwo nie wzbudziło w niej zbytniego zainteresowania.

- Wszystko w porządku – rzuciła do czarnowłosej, która co odfajkowała na tekturowej kartotece. Wcisnąłem spodnie nad wyraz szybko i zgrabnie, a po chwili miałem wykonane następne badania. Nagle usłyszałem swoje nazwisko. Ki diabeł pomyślałem i naraz słyszę :

- Wyczytani poborowi do sali na parterze...tam pobieraj krew.

W ferworze „gaciowych” zmagania jako wyleciała mi z głowy idea oddawania honorowej krwi. Wymigać się nie było jak, bo księżki z kategorii zdrowia dawali dopiero po pobraniu krwi. Nie taki diabeł straszny jak go malują. Od tego momentu, aż do końca roku 1982 oddałem prawie 13 l. krwi. Zaprzestałem na początku lat osiemdziesiątych ze względu m.in. na brak strzykawek jednorazowych itp. Ale to dopiero miało być w przyszłości.

Chyba krótko po godz. 15 zaczęła wydawać nam księżki. W mojej stało jak byk :Kat „A” przeznaczony do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia, a wojska w przeciwieństwie do innych nie obawiałem się wcale. Z zaciekawieniem trzymałem ją w rękach i poza paroma wpisami, nie wzbudziła we mnie zainteresowania, stanęłam przed faktem dokonanym. Dzień zakończyli my w pijalni piwa na „Szewskiej”, która jak ulał pasowała do opisu knajp rodem z Dzikiego Zachodu. Kwaśny odór piwa, wymieszany z papierosowym dymem i zapachem moczu dobiegającym z pobliskiej toalety to piorunująca mieszanka nawet jak nasze młode organizmy. Z uczuciem ulgi wyszliśmy na zewnątrz trzymając się w stronę dworca PKP, bowiem wioską z nas mieszkała na końcu ul.

wierczewskiego (obecnie Piłsudskiego). Następne dni nie zakłóciły codziennego rytmu. Praca na zmiany, kufelek piwa z koleśkami na Brzozowej i tak do dnia, kiedy pokwitowałem wezwanie do stawienia się w Wojskowej Komendzie Uzupełnień w celu odebrania karty powołania.

Do woja, marsz do woja...

Na początku października 1976 r. przyjechałem do wioślicy nad Wisłą, aby odebrać bilet powołania do czynnej służby wojskowej. W naszym mieście zlikwidowano komendę uzupełnień i przyszło mi się samemu tłuc 65 km do miasta, w którym nigdy nie byłem. Z poborowych z Chojnic byłem sam. Już w autobusie zorientowałem się ,

wraz ze mną i w tym samym celu podróży kilku podobnych do mnie delikwentów z okolicznych podchojnickich miejscowości. Jeden z nich, straszny rozrabiaka, jak się później okazało, został w wojsku przyjacielem na dobre i złe. Samo miasto nie zrobiło na mnie pozytywnego wrażenia. Główna ulica, wokół usadowiły się czynszowe XIX wieczne kamienice i jedynie nowy wybudowany w jakimś nieokreślonym stylu autobusowy dworzec wyróżniał się spośród tej monotoności. Idąc główną ulicą w stronę wojskowych obiektów rozmyślałem dokąd skieruje mnie wojskowa służba. Nawet nie wiem kiedy wyrosła przede mną ceglana bryła WKU. Nie było żadnego ołnierza, a jedynie przy pobliskiej bramie prowadzącej do jednostki spacerował w pełnym rynsztunku wartownik z zaciekawieniem obserwujący nas wchodzących do budynku. Na piętrze w niewielkiej klatce, siedziało dwóch ołnierzy. Jeden z nich zawodowy, drugi ze służby czynnej. Podałem im swoją książeczkę wojskową i czekałem na rozwój wypadków. Będąc w służbie zawodowej (czyt. trep) sprawdził dane z książeczki i porównał je z listą przed nim kartotek, odebrał wezwanie, które mu wręczyłem i zwrócił się do mnie:

- Poborowy, nie chcecie pójść do armii na ochotnika... na uzupełnienie rocznika. Brakuje nam kilku.

Czemu nie pomyślałem. Co ma wisieć nie utonie. Dziewczyny nie miałem, a taka odmiana dobrze mi robi – myśli jedna za drugą kołatały po głowie.

- Zgadza się – powiedziałem po chwili zastanowienia.

- Dobra nasza – wyrażnie ucieszył się ołnierz zawodowy.

- Podpiszcie mi jeszcze tu – podsunął mi jakiś druczek.

- Pójdziecie do marynarki wojennej...do Gdyni do 3 pułku zabezpieczenia sztabu. Zgłosicie się tam 13 listopada na dziewięć rano – po czym wręczył mi bilet w jedną stronę. W drugą przyszło mi czekać dwa lata.

Po godzinie siedziałem w zdezelowanym Jelczu PKS, który prychając spalinami podał w kierunku Chojnic. Matka wiadomo o moim wcieleniu do wojska skwitowała krótko:

- Nie jesteście pierwszy, ale i nie ostatni.

- Wiem – odparłem nic sobie nie robiąc z faktu, od którego moi koledzy uciekali jak diabeł od wody.

Nazajutrz na pierwszej zmianie powiadomiłem mistrza zmianowego o moim powołaniu. Odesłał mnie do kadr, gdzie dowiedziałem się o wypłaceniu tzw. „wyprawki” i wykorzystaniu urlopu za przepracowany rok. Od poniedziałku od samego rana latałem po całym zakładzie z kartą obiegu. Przed samą godziną czternastą byłem wolny od przepisów jakimi był obwarowany pracownik. Nawet nie zdawałem sobie sprawy ile podpisów musiałem zebrać, nie byłam nawet zakładowej biblioteki, o której nawet nie miałem pojęcia, że istnieje. W drodze w kasie

zakładowej odebrałem niezłe pieniądze za wyprawki, która przysługiwała odchodzącemu do wojska. Po południu padła pierwsza połówka w „Polonii” potem druga i trzecia. Koledzy z brygady nie mieli jeszcze doświadczenia. Padła decyzja:

- Zmieniamy lokal.

Wybór padł na „Bar go cinny” na osiedlu „Budowlani”, potem „Polonia” „Tur”. Nie pamiętam tam dokładnie, o której skończyła się nasza popijawa. Obudziłem się nazajutrz rano... w domu. Musiało być niecieple, skoro troskliwa matka w pobliżu mojego łóżka postawiła wielką miskę. To na wypadek, gdybym próbował pozbyć się tręśnięcia. Na szczęście obyło się bez tego, jednak ból głowy nie opuszczał mnie do popołudnia. Wieczorem powtórka z dnia poprzedniego, i tak przez trzy dni, a skończyła się gotówką. Wtedy do mnie dotarły wywody matki, ojciec o dziwo, nie powiedział mi morałów.

- Co z tobą... co ty robisz - biadała matka.

- Nic mam – odpowiadałem zgodnie z prawdą.

- Egnam się z kolegami.

- Lepiej by siedział w domu, a nie włóczył się po nocach – i tak w kółko od nowa.

Nawet się nie obejrzałem kiedy nadszedł czas zameldowania się w jednostce. Noc poprzedzając wyjazd spałem nad podziw dobrze. Przed godziną siódmą rano poegnaliśmy się z matką i ojcem bez zbędnych ceregieli i czuło ci. Po dziesięciu minutach byłem już na dworcu. Na platformie stała już lokomotywa z wagonami. Rzuciłem okiem na tabliczkę informacyjną na wagonie. Widniało na niej Chojnice – Tczew. Machnąłem przed nosem konduktorowi wezwaniem. Nie zareagował wcale, tak jakby codziennie je działo setki poborowych. W wagonie nie było wiele osób. Parę kobiet i mężczyzn, pewnie jadących w swoich interesach, bądź do pracy. Z poborowych nie było... nikogo. Nic dziwnego, skoro na dziki pobór brakowało ochotników i poza mną i jak się wkrótce okaże, bądź tylko Wiesiek z pobliskiego Piastoszyna. Do Tczewa dojechaliśmy ok. 9:30. Po chwili podmiejską kolejką jechałem do Gdyni. Zapaliłem papierosa. Paliłem po ukończeniu 18 lat. Trochę z racji ojca, któremu wcześniej podbierałem „eglarze”, a później „Klubowe”. Tak więc odziedziczyłem ten niezbyt chwalebny nałóg niejako dziedzicznie. Zdudniły koła wagonu na rozjeżdżenie i z piskiem hamulców długi skład wtaczał się na dworzec Gdynia – Główna. Otwierał się nowy, do tej pory dla mnie nieznan rozdział życia, który jak się później okaże, był jednym z najciekawszych.

W wielkiej poczekalni dworcowej w Gdyni zauważyłem kilku chłopaków, o których wiedziałem, że podobnie jak i ja nie stawili się w celach turystycznych. Nie zdążyli my nawet się dobrze zapoznać, kiedy dał się słyszeć stukot podkutych butów i jak spod ziemi wyrósł przy nas dwuosobowy patrol w marynarskich mundurach. Jeden z żołnierzy sprawdził nasze karty powołania i kazał czekać na dworcu na pojawienie się wojskowej ciarówki, która miała zawieźć nas do jednostki.

- Co on tam pier ... li – odezwał si niski kr py blondynek z wielk szram na nosie. To był wła nie Wiesiu niezły rozrabiaka, a szrama na nosie, była pami tk po jego wojowniczej naturze.

– Zanim ta ci arówka przyjedzie zd ymy jeszcze co nieco wypi – powiedział ze szelmowskim u miechem. Niedaleko dworca jest sklep spo ywczy a w nim widziałem „bełty”.

Co to były „bełty” wiedział ka dy z nas. Nam nie trzeba było dwa razy powtarza , tym bardziej, ze nasi adwersarze w mundurach znikn li w zakamarkach dworca. Ka dy z nas kupił po dwa wina. Pami tam do dzisiaj ich wdzi czn nazw . „Kordiał o smaku truskawkowym”. Po pierwszej butelce opró nionej za sklepem przyszedł czas na drug . Nikt nie był pijany, ale przyjemne ciepło i lekki szmerek w głowie pozwolił rozwia nasze obawy, na które był ka dy z nas nara ony przekraczaj c bram jednostki, do której otrzymali my powołanie.

Na dworcu ju na nas czekał „Star” obleczony plandek . Na skrzyni siedzieli w zamy leniu i milczeniu przyszli obro cy ojczyzny.

– No koty, gdzie łazicie – zawołał kierowca na nasz widok gestem r ki pokazuj c nam skrzynie, na któr mieli my wej .

- Chwila, podejd cie tutaj – rozległ si głos jakby z boku.

Teraz dopiero zauwa yli my stoj cego z drugiej strony burty auta wysokiego ołnierza w polowym mundurze. Był to oficer, który był odpowiedzialny za poborowych.

– Pili cie – odezwał si do Wie ka.

– A co nie wolno – odpalił mu bez namysłu.

- Jeszcze w wojsku nie jestem – no nie – zwrócił si do nas.

– No nie – odparłem.

– Noo – jako sm tnie potwierdzili pozostali uczestnicy winnej biesiady.

Po chwili siedz c na pace podszytej wiatrem jechali my po ród lasu, który si nagle sko czył, a zast piły go betonowe bloki. Zatrz sło skrzyni par razy i stan li my przed bram , na której widniały wielkie białe litery Wojsko Polskie. Jednostka znajdowała si w dzielnicy Witomino, i nie było to miejsce naszego stacjonowania, a jedynie wyekwipowania. Stacjonowa mieli my na górnym Oksywiu. Naraz padła komenda:

– Wysiada !

Cyrk wariatów

Zeskoczyłem na asfalt, ciekawie rozgl daj c si dookoła. Znajdowali my si na wielkim placu, wokół którego usytuowane były zabudowania. Dwupi trowy długi blok, niski, i przysadzisty gmach sztabu i dowództwa. Tu przy bramie wjazdowej

znajdował się stadion sportowy, za którym jak zdążyłem się zorientować, znajdowały się garaże. Przy dykury, obok bramy wjazdowej znajdowała się kantyna przeznaczona dla żołnierzy. Skierowano nas do wietlicy. Po spisaniu personaliów, co poszło nad wyraz sprawnie ponownie kazano znaleźć nam miejsce na ciemnej skrzyni.

– Pojedziecie na Oksywie, do waszej jednostki. Chociaż podlegacie pod nas, bierzcie na Oksywie – instruowali nas żołnierze z czynnej służby, głupkowato się uśmiechając.

– Co ci tak wesoło – zapytałem jednego z nich.

– Zobaczycie co to znaczy dostać w...tu padło mocne dosadne określenie eskich narzędzi płciowych.

– Eee tam – dałem wyraz zwątpienia w prawdziwość jego słów i samochód ruszył trzęsąc niemiłosiernie. Z ciekawości obserwowaliśmy ulice Gdyni. Skoczyły się skwery i zabudowania. Star z trudem piął się pod górę. Obłędnie mignął mi napis urzędowej instytucji na jednym z budynków. Miałem teraz wrażenie, że znajdujemy się w małym miasteczku. Po prawej stronie mijaliśmy port wojenny z jego dokami i dźwigami, po drugiej zaś małe co najwyżej dwupiętrowe z obdrapanymi tynkami domy. Nagle w skałach asfaltowa droga urwała się jak ucięta nożem, a w jej miejsce pojawiła się wysypana żuławka lub miałem w głowie. Po jej obu stronach ciągnęły się już bezlistne krzaki i żółta niemiłosiernie teraz ocierając się o brezentowe plandeki. Ciemność zatrzymała się chyba ku uldze wszystkich. Zziębnięci siedzieliśmy skuleni. Zerwał się wiatr i zaczął padać deszcz bębniąc o brezentowe dachy.

– Z wozu – padła krótka komenda.

Niezdarnie zeskakiwaliśmy z paki skrzyni. Rozglądałem się ciekaw, gdzie przyjdzie mi spędzić najbliższe dwa lata mojego życia. Moje wrażenie nie było najlepsze. Był może miał na to wpływ późny jesienny krajobraz mimo przedpołudniowej godziny, nieco zamglony. Był może było po prostu zasług padającego deszczu, nie wiem, ale zrobiło mi się smutnie na duszy. Sama jednostka to cztery podziemne baraki usytuowane wokół centralnego asfaltowego placu. W przejściu pomiędzy naszym koszarowym barakiem, a barakiem batalionu wartowniczego znajdowała się kuchnia wraz ze stołówką i niewielkim placikiem. Kończył się on gwałtownie stromą piaszczystą skarpą, a w dole szumiały fale morskie. Po lewej stronie apelowego placu w podziemnym baraku znajdowała się kantyna, a zaraz obok izba chorych. Za barakiem, do którego miano nas przydzielić znajdowała się strzelnica, a za nią już tylko morze. W oknach naprzeciw nas pojawiły się twarze żołnierzy nas obserwujących. Sam budynek do którego weszliśmy miał ok. 100 m. długości. Korytarz był biały – czarna kostka. Po jednej i drugiej stronie drzwi poszczególnych plutonów. Obite blachą – to magazyn broni. Podwójne prowadziły do nieco większego pomieszczenia nazywanego na wyrost salą gimnastyczną. Po

przeciwległych stronach ulokowane były wietlica i magazyn szefa kompanii. Po rodku korytarza znajdowała się spora wnika nazywana kłakiem gospodarczym. Na wysokość ok. 30 cm od podłogi, na całej długości kłakowatego holu znajdowały się wniki, gdzie były paleniska do kłakowych pieców. Gdzieś w połowie znajdował się stolik podoficera z telefonem i mikroskopijnym biurkiem. Staliśmy jak barany przed zarzyciem i czekaliśmy na rozwój wypadków. Długo nie trzeba było czekać. Na początku, jakby nie miało zacząć do nas podchodzić żołnierze proszący o papierosy. Kiedy z nas, oczywiście, jeżeli palił czy stawał proszących. Po chwili jednak pojawiły się stanowcze dania po życzeniu drobnych kwot pieniędzy. Przytłoczeni nowym otoczeniem bez słowa sprzeciwu spełniali my ich dania. Zachciało mi się palić. Zapytałem przechodzącego żołnierza, gdzie tu można zapalić. Spojrzał na mnie jakby co najmniej zobaczył zjawę i wycedził przez zęby:

- Jeszcze możesz w kiblu, ale pospiesz się, bo niedługo będziemy was docierać.

Co mi tam jego docieranie i za chwilę lubo ci zacięłam się „sportem” nie mogąc wyjść z podziwu dla wojskowych toalet. Nie było kabin, tylko metrowe murki bez drzwi. Nie było również sedesów, tylko jakby misy wmurowane w posadzkę z miejscami na stopy. Byłem niezmiernie ciekawy jak w takiej pozycji załatwia się b d co b d najwłaściwie w życiu człowieka potrzeb fizjologicznych. Moje rozmyślenia przerwał jakby okrzyk wariata. Ów wyrażenie modulowany dźwięk o sile głosu godnym zarzycanego wołu brzmiał:

- Poooboooooowi po prostu do strzyżenia.

Nagle w mój toaletowy azyl wkradł się inny głos jakiego pajaca w mundurze:

- Co k...wa was nie rusza? Podniosłem wzrok z miejsca gdzie dochodził głos. Ujrzałem debilną facjatę wykrzywioną grymasem.

- Nie ...nie rusza powiedziałem patrzcie mu w oczy.

Gdyby strzelił w tym momencie grom z jasnego nieba na moim adwersarzu nie wywarłby większego wrażenia.

- No jeb...ny kocie na samym początku będziesz miał przeje...ne!

Już nie mówił a charczał. miało mi się chciało na jego widok. Chudy z wycigniętymi rękami robił mieszane wrażenie. - Pomyślałem, gdybym tak ci strzelił w ryłko fiknęłoby nogami jak nic. Ale atmosfera niepewności i tego co nas czeka powoli zaczęła się we mnie zwłóżyć. Nie oglądając się na niego wybiegłem na korytarz. Na moje szczęście wszyscy moi nowi współtowarzysze byli na korytarzu. Wmieszałem się w tłum i szukaj wiatru w polu. Dobrze, że mój kiblowy przeładowca mnie nie szukał, bo i po co. Zapamiętał mnie i później się na mnie odegrał i to jak.



Przed wyjściem na przepustkę. Październik 1977 r. (zdjęcie z archiwum Autora)

Miałem włosy prawie do ramion zgodnie z wymogiem mody. Teraz siedziałem na taborecie owinięty skrawkiem materiału zalemam patrzyłem jak pod warkotem elektrycznej maszynki moje włosy, niczym pszenne łany pod kombajnem odchodziły w niepamięć. Po kilku minutach spojrzałem w lustro i... zdziwiłem się. Gdybym nie był pełna rozumu i zdolności postrzegania, to patrząc na odbite w lustrze odbicie nie wiedziałbym, że ja to... ja.

Co gorsza, gdy łysych głów przybywało wyglądałiśmy wszyscy jak spod masowej produkcji. Jedyne co jeszcze nas różniło to cywilne ciuchy, które zaraz mieliśmy

wymieni . W tym celu wydano ka demu po brezentowym worku, do którego mieli my wło y nasze ubrania nie wył czaj c skarpetek i gaci. Stoj c nadzy tak jak stwórca nas stworzył, czekali my na swoj kolejjk do k pieli. Na całej kompanii nie znajdowało si wi cej ni 10 prysznic, wi c o prawdziwej k pieli nie mogło by mowy. W miedzy czasie poinformowano nas, e odzie cywilna, a wraz z ni wszystkie niepotrzebne rzeczy odesłane zostan do naszych domów. Nadeszła moja kolejka pod prysznic. Nie wiem jak długo trwała ta czynno , ale z myciem nie miała nic wspólnego. Kawałka óltawego mydła nawet nie zd yłem zamoczy kiedy padła komenda – wypad! i nast pni zaj li moje miejsce.

Owini ci r cznikami, które dała nam ju ojczyzna, wygl dali my jak murzyni z opask na biodrach. Kazano nam si ustawi przed drzwiami na ko cu korytarza. Znajdował si tam magazyn umundurowania i pobierania (poza broni) wszelakiego ołnierskiego ekwipunku. Z rozbawieniem patrzałem jak to si odbywało. A było to tak: przed drewnian barierk stawał ka dy pojedynczo. Za ni stał ołnierz i pytał si o rozmiar butów, wymiary w pasie itp. Po ich usłyszeniu wrzeszczał w gł b magazynu. Za chwil w jego kierunku frun ły spodnie, bluza zwane „moro” onuce, skarpety, i inne dodatki, o których nikt z nas nie miał poj cia. Pochwali ta gromada dóbr wszelakich l dowala na wyci gni tych r kach poborowego po sam czubek nosa, pozbawiaj c go zdolno ci widzenia. Na sam koniec na głow nasadzono plecak, co wzbudzało liczny rechot zgromadzonej „rezerwy”. Ta z kolei komentowała to w niewybredny sposób, utrudniaj c wyj cie z magazynu. Ubierali my si na korytarzu. Ciekawe, i mimo podawania rozmiarów dostali my akurat odwrotnie do postury rzeczy. Wymieniali my je mi dzy sob . Przewa nie ci ni si wzrostem dostało o wiele wi ksze spodnie i bluzy i odwrotnie. W ród nas przechadzali si ołnierze starszego rocznika. Równie przede mn stan ł stary wiarus i jak mnie nie złapie za skórzany pas, który przed chwila wyfasowałem i zało yłem.

– Tak si pasa nie nosi – stwierdził. Urwie ci jaja – po czym zr cznie mi go odpi ł i przesun ł prawie na wysoko klatki piersiowej. Nie zapomniał przy tym mocno go zacisn , tak, e zacz ło brakowa mi tchu. Po chwili zajmował si nast pnym, a ja dyskretnie polu niłem go co najmniej o dwie nast pne dziurki. Rozejrzałem si wokół siebie. Wszyscy dzisiejsi poborowi, którzy ze mn przybyli wygl dali jak snopki zbo a w połowie ci ni ci sznurkiem niwiarza. Pewno , któr mieli my b d c jeszcze w cywilnym odzieniu znikn ła po umundurowaniu nas. Zacz to wyczytywa nasze nazwiska ustawiano w szereg. Nie obyło si przy tym bez wrzasków:

- Co tak stoicie jak by pijany ko szczał.

Nikt z nas oczywi cie nie wiedział o co im si rozchodzi. Po chwili ju u wiadomieni wiedzieli my, e stoimy nierówno jakby pijany ko szczaniem wytyczył nam lini . Ta jednak prosta układała si wedle kostki terakotowej i to według niej mamy si ustawia . Przed frontem zebranych pojawił si mały blondynek robi cy miny chyba maj ce uchodzi za gro ne. Z minami mu nie wychodziło, ale z głosem za to

koncertowo. Naraz jak nie huknie niczym z armaty:

– Nazywam się mat Gniady i to ja będ waszym dowódc , oczywi cie poza dowódc plutonu, a jest nim chor y Zieli ski, którego poznacie.

Naraz z drugiego szeregu dało się słysze r enie przypominaj ce ogiera. Bractwo wybuchło miechem, a w mata jakby diabeł wst pił.

– Caaało padnij – rykn ł.

Zrobił się tumult i zamieszanie, bo nikt nie potrafił wykona komendy, i nikt z nas nie miał zamiaru kła si na zimnej posadzce. Nagle jak spod ziemi wyro li przy nas rezerwi ci. Ci bez zbytniego patyczkowania łapali nas za poły moro i przewracali na ziemi. Zd yłem sam pa nie korzystaj c z w tpliwej pomocy. Le c z nosem przy podłodze usiłowałem zobaczyć , czy wszyscy ju przyj li pozycj poziom . Wobec komend:

– Nie podnosi łbów i komplementów w stylu – pier ... lone koty artów im się zachciewa i e od teraz b dziemy mieli przej ... ne i b dziemy przeklina dzie , w którym nas matka urodziła – odst piłem od zamiaru obserwacji.

– Le ku ... wa ...le ojcowie i się nie ruszaj – słycha było na korytarzu.

No niezły cyrk i co ja robi w tym domu wariatów zastanawiałem się le c na chłodnej posadzce. Długo jednak nie zaprz tałem sobie głowy rozmy laniami, bo padła komenda:

- Powsta – padnij i tak z kilka razy.

Tego do tej pory w swoim dziewi tnastoletnim yciu nie przerabiałem, za to w niedługim czasie miałem norm wykonan na długie lata. Przy drzwiach wej ciowych zrobiło się spore zamieszanie. To kilku spó nionych pod niezł dat wtoczyło się na kompani . Na to tylko czekali rezerwi ci, którzy niczym stado psów obst pili maruderów. Ci widz c nas na ziemi i wrzeszcz cych wokół nich zgłupieli do reszty. Działo się to przy cichej aprobacie kadry wojskowej, bowiem byli obecni: szef kompanii, dowódcy plutonów i dowódca kompanii. Znacznie pó niej dowiedziałem się , że obowi zywał cichy układ pomi dzy nimi. Stare wojsko przyjmowało poborowych, a oni nie wtr cali się do naszego edukowania przez nich. Musieli mie w tym niezł wpraw skoro po kilku minutach pomogli spó nionym za y - jak nam pó niej powiedzieli – k pieli z lodowat wod skierowan na nich z gumowego w a. Nazywało się to pono „parowaniem alkoholu”. Chyba było to skuteczne na tyle, e bardzo szybko doł czyli do nas.

Poprowadzono nas do sali ołnierskiej. Była to spora izba z pi trowymi łó kami, przy których stały taborety, jak się pó niej oka e, poza wiadom rol pełniły szereg innych praktycznych zastosowa , ale o tym mieli my przekona si w swoim czasie. Odległo mi dzy łó kami wyznaczały metalowe szafki z szuflad . Na jednej ze cian wisiały metalowe wieszaki wygl dem przypominaj ce mi haki w sklepie

w dliniarskim. Podłoga z desek napastowana i wyfroterowana w kostki i kółeczka dopełniała obrazu pomieszczenia. Poza wielkim kaflowym piecem w rogu, w której w izbie nic nie było.

To jest wojsko, a nie cyrk...

Gniady przydzielał nam po kolei łóżka, które jak określił w argonii wojskowym nazywane są „kojami”. Biada nam, jak złapie któregoś z nas w ciągu dnia na nim siedzącym. Dostałem górne łóżko „na piątrze” co okazało się pózniej nie takim złym wyborem i miało swoje dobre strony. U wezłowania znajdowała się kartka z nazwiskiem i imieniem zajmującego tego koja. Słuchałem instrukcji jak nalezy się do koja, i co robić, aby zasłane było regulaminowo. W tym celu nalezy m.in.

– Wy – odezwał się do mnie. Patrzałem na niego zbaraniały, bo nie wiedziałem czego się domaga. – Kur...a mów wam odebrało?

Muszę przyznać, że określenie kur...a było obecne w kałdej odzywce, napomnieniu.

- Neeee – beknęłem jak baran.

– No to dobrze, bo już myślałem, że tak.

- Na nim – tu wskazał na mnie palcem pokazując jak nalezy się zachować, kiedy się do was zwracam.

- Czy to jasne – ryknął w stronę sali. Dało się słyszeć: - jasne... no.... Tu mat gestem ręki przez podniesienie do góry nakazał ciszę. Zaczęliśmy nas uwiadawiać, a nawet porównał siebie do wołu co to pierdzi, a nas do obory co to słucha. Podobnych porównań było znacznie więcej, co pewnie stanowiłoby niezły materiał do opublikowania pracy naukowej z tematu odzywek wojskowych. I tak już nam wiadomo było, że: nikt nie odzywa się bez zapytania. Nie wychodzimy z sali bez pozwolenia. Palenie jest zabronione, no chyba, że na rozkaz. Wykonujemy wszystkie polecenia bez dyskusji. Rezerwa ma prawo nieograniczone w swoich zamiarach do nas itp. Słuchajcie tego osobliwego monologu, wiedziałem, że nie będzie łatwo. Jednak pocieszałem się, że skoro inni przeżyli, to moje dwa lata szybko zleci na powrót do cywilu. Nie minęło jeszcze dzień, a już już myślałem wrócić tam, skąd przyjechałem.

– Za chwilę – dobiegły mnie słowa – udamy się na obiad, a po nim dalsza część pytań i przystosowania was do życia w koszarach. Od jutra zaczynamy szkolenie

młodego wojska, a dzisiaj macie jeszcze spokój – dodał ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

Wiedząc, że nie zrobiła na nas perspektywa zjedzenia pierwszego wojskowego obiadu, nie tyle z głodu, co z ciekawości. Po takim ustawieniu nas w szereg udaliśmy się w stronę niedaleko położonej stołówki. Było to sporych rozmiarów pomieszczenie wyglądające przypominać restaurację. Stoliki czteroosobowe pokryte ceratą, twarde taborety. Jedynie stoły kadry miały białe serwety z mikroskopijnym wazonikiem ze sztucznymi kwiatkami. Całe jednak zajęte zajmowały dwa olbrzymie jakby okna z szerokimi parapetami. W jednym z nich pobierało się obiadem, z kolei w drugim oddawało naczyń. Przy drzwiach wejściowych w wiklinowym koszu jakby do bielizny leżały sterty pokrojonego chleba. Na nas z obiadem czekano specjalnie, bowiem w tym dniu zaplanowany był na szesnast, pół godziny zawsze z dokładnością zegarka wydawany był o czternastej. Staliśmy w długim ogonku. Zbliżając się do miejsca wydawania kładł pobierał trójmetalewac, na której to donosił posiłek do stołu. Niezbędnych jeszcze nie otrzymaliśmy, ale już nas pouczono, że jest on najbardziej wartościowy dla żołnierza. To morderstwo, jak się pół godziny przekonałem, mieściło w jednej obudowie i noży, widelec oraz łyżkę, a także otwieracz do konserw. Póki co wydano nam po aluminiowym widelcu i łyżce. Obiad pobierało się na zasadzie talerza i miski z tworzywa sztucznego. Kubek ogromny prawie litrowy napełniony wodą o słodkim smaku miał imitować kompot. Samo jedzenie nie było złe. Przy stoliku siedziało nas czterech. Nie znaliśmy się jeszcze dokładnie, lecz wiedzieliśmy już, że jedziemy na tym samym wózku. Przez całą naszą służbę wojskową wychowano nas bardzo dobrze, a nawet dostawali my drugie nadszanie dowodzone na strzelnicę czy do „małpiego gaju” zmory wszystkich żołnierzy. Parujący zapach grochówki suto okraszony skwarkami i nie mniej apetycznie wyglądający dobrze wysmażony mielony klops na chwilę sprawił, iż poczułem się jak w domu. Jeszcze nie zdążyłem dokończyć zupy, kiedy padła komenda:

- Koniec jedzenia powstań!

Od tego momentu w okresie unitarnym zawsze zaczynałem jedzenie od drugiego dania, a zupę wypijałem w kolejce ze zwrotem naczyń. Nie byłem w tym osamotniony, a reszta żołnierzy ze starego rocznika traktowała to jak coś naturalnego. Po zakończonym posiłku poprowadzono nas nad brzeg skarpy i w kierunku morza złożyli my głośny meldunek, aby słyszał nas obywatel „Fiury” na Helu, co było kompletnym nonsensem, ale ponoć taka była tradycja.

Szara rzeczywistość, czyli cię g dalszy ...

Przez trzy miesiące bez względu na pogodę powtarzali my tę czynność, a mnie nigdy nie udało się dowiedzieć, kto to był ów tajemniczy „Fiury”. Po przyjęciu z obiadu na kompani zbiorczą. Tym razem w naszej sali ołnierskiej. Tyrada mata Gniadego, który do pomocy dostał mata Kochańskiego. Wysoki, postawny o twarzy cherubinka. To on później mnie „docierał” z tym swoim anielskim uśmiechem na pięknym licu.

– Bez zezwolenia nie robicie nic – dalsi słyszą głos pomocnika dowódcy plutonu.

– Jeśli chcecie udać się za potrzebą to procedura wygląda następująco:

- S tając dwa kroki przede mną i na baczność, ręką przylegając do uda, donośnym głosem meldujecie:

- „Obywatelu mat marynarz pi ... dalsi prosi o wybiegnięcie z szybkością wiatła na wysokość lampy celem odcedzenia kartofelków”. Odnosiło się to w wypadku parcia na piersi. W przypadku parcia na kark formuła wyglądała podobnie z małym wyjątkiem, a zamiast odcedzenia kartofelków należało powiedzieć ...w celu przejrzenia jadłospisu.

Było to dla mnie nowe i ...głupie. Zastanawiałem się kim byli w cywilu nasi „wykładowcy” skoro gadali jakby byli niespełna rozumu. Dopiero później zrozumiałem, że oni podobnie jak i ja później byli kontynuatorami specyficznej tradycji wojskowej. W związku z meldowaniem i pozwoleniem załatwienia potrzeby fizjologicznej zbliżyłem się do Kochańskiego i wyrzuciłem jednym tchem:

- Obywatelu macie... stop...stop wystąpił po czym ryknął na mnie:

- Macie...macie to ch ...ja w gaciach... po czym rozkazał:

– Poprawnie meldujecie...

Zrozumiałem, że trzeba zawsze używać określenia mat, a nie macie. Jako ta lekcja zapadła mi w pamięć i już nigdy nie popełniłem pomyłki w przeciwieństwie do moich współtowarzyszy z plutonu. W ubikacji spotkała mnie niespodzianka i to niezbyt miła. Kiedy korzystając z chwili spokoju zaciągnąłem się papierosem, zobaczyłem w umywalni ołnierza posturą i ruchami przypominającą mi ...goryla. Później już wiedziałem, że miałem do czynienia ze starszym marynarzem Gilbodem a pochodził z Tczewa. Nie wiem jak to się stało, że go wcześniej nie zauważyłem, usłyszałem tylko krótkie szczeknięcie:

- Padnij!

Protestować nie było sensu, a tym bardziej stawiać jakiegokolwiek oporu. Rezerwa przy pomocy vice – rezerwy skutecznie tłumiała wszelkie przejawy oporu „kociarstwa” wobec ołnierzy ze starszego rocznika.

– Jedźcie pompki ... jedźcie – dał mord jak opętany.

Podniosłem się na rękach i opuciłem, potem raz drugi, trzeci.

– Co wy ku ... wab pier ... licie. Ja was naucz pompek!

Złapał mnie za pas, podniósł i opucił... co tak kilka razy.

- Słuchaj młody, po każdym wykonaniu zadanych pompek wstajecie i meldujecie:

- Ja marynarz pi ... da melduje wykonanie 30 pompek celem podniesienia sprawności fizycznej na zbliżeniu olimpiad w Moskwie, w dziedzinie figurowej na lodzie na skurwiałym Kaszubie.

- Powtórzcie - rzucił zadowolony.

Jako występkałem ten szczególny tekst dokładnie jak sobie zażyczyłem. Przy końcu, kiedy powiedziałem Kaszubie, w niego jakby diabeł ponownie wstąpił.

– Co nie lubicie Kaszubów, wiecie skąd jestem z cywila...jestem z Tczewa, nabijasz się ze mnie...to padnij i jedź z 30 pompek. Zaraz wracam – usłyszałem trzask drzwi.

Ale cyrk wariatów myślałem i pompek nie robiłem, bo załedwie po kilku godzinach, wiedziałem już, że trzeba jednym uchem wpuszczać, a drugim wypuszczać to co do ciebie mówi. Usłyszałem kroki zbliżające się do drzwi, które otworzyły się z hukiem.

...26... 27...28...29... 30 liczyłem głośno, kiedy ten oka obserwujcie co będzie dalej.

– Powstał – padł rozkaz.

Gila nie był sam. Przeprowadził koleś, na moje rozeznanie niezłego cwaniaczka. Pomny koniecznie ci wydukania formułki zacząłem:

... i kiedy dobiegłem końca, chcąc mu zaimponować, powiedziałem tym razem: ...na skurwiałym hanysie. Teraz to dopiero rozległ się ryk:

- Kocie pier ... olony – to ryczał koleś Gili

– Wiesz skąd jestem z cywila... Gównu mnie to obchodziło. Miałem już po dziurki w nosie robienia ze mnie pajaca. Robiąc dobre miny do złej gry powiedziałem – nie!

– Zapamiętaj kut ... sie, jestem z Katowic, ze Śląska!

Teraz wiedziałem, że strzeliłem gaf. Jak się później okazało, zawsze było na odwrót. Ale była to ze strony rezerwy gra celowa polegająca na zastraszeniu młodego wojska. Moja długa nieobecność w plutonie zaniepokoiła matę Gniadego, który na mój widok w kiblu, zaczął z radością:

– A ten ku ... wab za co ma prze ... bane.

- Za miłość do ojczyzny – odpowiedział mu Gila.

– Spier ... aj na sal – usłyszałem i już mnie nie było.

Podczas mojej nieobecności zaczął tłumaczyć pozostałym, co będzie, kiedy

poskar si oficerowi politycznemu, który raz w tygodniu odwiedzał kompani . Porucznik Goł biewski suchy i ylasty miał marsowe oblicze. Do ko ca słu by nie miałem z nim kontaktu, a nam nie przyszło nawet go głowy, aby kogokolwiek ze starszego rocznika zakapowa .

Nadchodził wieczór. W ferworze dnia nie pozbawionego dla mnie pewnego wstrz su psychicznego godziny nie miały znaczenia. Po kolacji, która składała si kawałka w dliny, d emu i kawy z mlekiem ogarn ło nas zadowolenie, e dadz nam pospa . Nic z tego. Wieczorny cyrk, który nas czekał niebawem przyczał si w zakutych łbach naszych matów. Zacz ło si od obowi zkowego ogl dania dziennika telewizyjnego. Wielkie pudło kolorowego telewizora marki „Rubin” znajdowało si na wietlicy. Kilka stolików po bokach, gazetki cienne podkre laj cy nierozzerwalny sojusz polsko – radziecki. Na frontowej cianie wielki orzeł, wtedy bez korony. Sama procedura wej cia na wietlic wygl dała nast puj co: wchodzimy dwójkami. W prawej r ce taboret po to, aby gdzie było umie ci swoje siedzenie. Ju w progu nale ało przyj postaw na baczno i lekkim skinieniem głowy pokłoni si godłu. Nast pnie siadamy po pi ciu w rz dzie. Główa wyprostowana, kolanka zł czone a na nich r czki.

– Z uwag obserwuj i słuchaj – słyca polecenia – niech nikt nie wa y si przysn , w przeciwnym razie padnie komenda: łeb zmoczy !

Wtedy wywołany po nazwisku delikwent wybiega do umywalni moczy głow i wraca na wietlic – grzmiał – Gniady.

Kocha ski dodał:

- W razie stwierdzenia ponownego przy ni cia „podpadziocha” w moro wchodzi pod prysznic, a po chwili melduje si u mnie.

Słuchałem debilnych instrukcji przezwyci aj c sen. Na szcz cie w pierwszym dniu nikogo zaszczyt moczenia łba nie dotyczył. Za to kilka dni pó niej ka dy z nas miał wodny chrzest za sob . Po dzienniku bodaj e do godziny 21 szkolenie teoretyczne w sali olnierskiej na temat wojska.

– To nie fabryka gwo dzi, ani yletek. Tu nie ma kolegów, poniewa w cywilu wielu z was nawet psa nie miało. Porz dek musi by jak pi ... da anioła, a podłoga musi l ni jak psu jajka – i tak a do znudzenia.

Chłon łem to z nabo nym podziwem, bo za choler nie mogłem sobie wyobrazi jak wygl da anioł, a có dopiero jego pewna cz ciała. Błyszcz ce jajka jako łatwiej było mi sobie wyobrazi , a ju za choler nie rozumiałem gadki o gwo dziach czy yletkach. Za to chciało mi si pali . Podniosłem r k i widz c zgod mata jednym tchem wyrecytowałem:

- Marynarz pi ... da zwraca si z zapytaniem:

- Taa - rozległo si spod pieca tonem łaski

– Jak jest z paleniem?

Hm – wyst kał – jest specjalna komenda dla palaczy. Gdy padnie, to palacze wybiegaj z sali, chwytaj wielki kosz stojący przed kompani i p idź na złamanie karku w kierunku klombu. Najlepiej prze wiczmy to od razu – i jak nie wrza nie:

- Paaalacze przygotowanie do palenia, po chwili – do palarni biegiem marsz.

Na te słowa komendy rzucili my się do drzwi. Dwóch przytomnych w biegu porwało wielki metalowy kosz i po chwili byli my przy klombie. Uformował nadchodzący Kocha ski nas w dwuszereg. Pierwszy na jego komendę odwrócił się twarzami do pierwszego. Padł rozkaz:

- Pierwszy szereg czy stuje drugi szereg!

Ci co palili gor czkowo wyjmowali papierosy z kieszeni i czy stawali drugich. Przebiegło naszego „opiekuna” dała znać po chwili.

– Wy – rzucił w kierunku niepalącego – czemu nie palicie?

– Bo ... bo ... bobo to był rowerek jak byłem mały – skwitował mat.

- A mo e nie macie papierosów? – podsun łem mu swój paczk .

– Ale ja nie pal - wyst kał nieszcz ęnik.

- Cooo? – nie palicie? to po jak cholera tu jesteście – rykn łem mu nad głowę .

- Kto jeszcze nie pali – odezwał się do nas.

Podniosło się kilka r k.- Na czas palenia kolegów robicie przysiady w wyciągniętych r koma, odechce się wam podszywania za palaczy – obwieścił.

Zapalili my. Rozkoszowałem się dymem, gdy nagle natura Kocha skiego nie uznawała litości dając znać o sobie kolejną komendę .

– Lewe płucho...prawe płucho...za tatusia...za mamusi . A teraz na komendę chmurka - zbijacie się w ciasną gromadkę i wypuszczacie razem dym do góry.

Kr ciło mi się w głowie od łapczywych zacięgnięty tytoniowym dymem. Na niebie wiewiały gwiazdy migoczące zwiastując nadejście mrozu. Na zewnątrz było chłodno. Po chwili zauważyłem zamrażnięte kałuże wody. Stali my trzęsąc się z zimna, dopóki nie padła komenda:

– Do sali biegiem marsz!

– Wróć! - zabrzmiało jak krótkie szczeknięcie.

– A kosz kto weźmie! Ja?

Najbliżej stojący porwali ciężki kosz p idąc w kierunku baraku. Zadudniły żołnierskie buty na korytarzowej posadzce. Ciepło buchające od pieca rozleniwiło nas wszystkich, byliśmy ciekawi jak te b dźwie wyglądają nasza pierwsza noc w szeregach sił zbrojnych naszej ukochanej ojczyzny. Około godziny dwudziestej

pierwszej padła komenda – wojsko przygotowuje się do mycia. Zdziwiło mnie to trochę, bowiem taka prosta czynność jak mycie nawet dzieciom nie sprawia kłopotu, a cóż dopiero nam. Okazało się, że byłem w błędzie i to wielkim. 10 minut czasu dostali my od dowódców drużyn na wzięcie ze sobą rękawiczek i wełnianych skarpet.

Onuce mieliśmy w plecaku i były one nieobowiązkowe, tzn. mógł je nosić każdy, kto się nauczył je zakładać. Następnie to o wiele później i ja również wolałem flanelowe onuce zamiast tradycyjnych skarpet.

– Zbiórka przed umywalnią !

Po chwili tłoczyli się przed metalowymi korytami spełniających rolę umywalek. Do dyspozycji była tylko zimna woda. Prali my te skarpetki w zimnej wodzie, a mydło za cholerę nie chciało się pieni. Przemylem twarz, zamoczyłem jedną nogę, bo na drugą już nie było czasu i wypad na izbę. Całe to mycie przypominało mi cyrk wariatów. Bo jak w pomieszczeniu niewiele większym od pokoju, o wymiarach pięć metrów na pięć, na upchniętych 40 zdrowych młodych mężczyzn, przy tym dając każdemu na dokładne umycie jedną minutę. W konsekwencji tego, wielu nawet nie zdążyło zamoczyć ręk, a gdzie tu mówić o myciu. Same rękawiczki czysto ci znacznie różniły się od tych w cywilu. Dwie szczotki do butów z których jedna z twardym włosiem, druga z miękkim. Maszynka do golenia, żyletka „Barbie”, które jak podejrzewam, były już tu po wyprodukowaniu. Mydełko do golenia, pasta do butów.

Z goleniem to była niezła heca. W zimnej wodzie i przy braku dostatecznego czasu za nic w świecie nie dało się pozbyć zarostu. A sprawdzano skuteczność tej czynności kartką papieru. Najczęściej mat Gniady przykładł kartkę z zeszytu do naszej brody i lekko ją przesunął. Nie dał Boże kiedy papier nie przesunął się gładko, a że nie mógł, toteż każdy z nas otrzymywał bzdurne kary w postaci pompek i przysiadów, jak to określał mat:

- Za leczenie w ch... ja.

Wśród nas nie było nikogo, kto by nie doświadczył podniesienia sprawności fizycznej z racji niedokładnego ogolenia. Nie mogłem się doczekać ciszy nocnej, która obowiązywała od godziny dwudziestej drugiej do szóstej rano następnego. Próbnymi to były nadzieje. Po powrocie z umywalni zaczął się wykład o prawidłowym założeniu umundurowania w „kostkę”. Kostka to nic innego jak blat taboretu, na którym kładli my mundur przed snem. Musiał on tak być założony, aby nie wystawał nawet na centymetr poza jego krawędzie. Nie była to łatwa sztuka, i nie było dnia, gdzie tego powodu odwlekano nam ciszę nocną. Po takim założeniu padła komenda:

- Na kojo raz!

Ci co spali na dole, niczym Wszoła na olimpiadzie potężnym susem wskoczyli do

łó ek. Ja i pozostali maj cy ło a na górze, niezgrabnie ładowali my si do góry.

- No nie ... ku ... wa - rozległ si głos kilku rezerwistów przebywaj cych na sali, dnych widowiska.

- Tak macie ładowa si na górne koje – powiedział jeden z nich i zademonstrował jak nale y kła si na górnych łó kach. Po chwili wszyscy niczym trusie le eli pod prze cierałem, na które trzeba było rozwin filcowy koc, maj c namiastk cywilnej po cieli.

- Dobranoc wojsko!

Dało si słysze od wychodz cych rezerwistów.

- Dobranoc – rzuciło kilku z nas maj c nadziej na sen.

Nagle rozległ si głos naszego mata:

- Cooo jest? wojsko nie zm czone, e mu si jeszcze gada chce!

- Z koja raz! – jak nie ryknie.

Rozległ si odgłos skacz cych z góry, ci z dołu ju stali przed łó kami.

- Na kojo raz! – tym razem poszło sprawniej i le eli my jak trusie.

- Dobranoc wojsko – rzucił Gniady wychodz c i gasz c wiatło.

Pomni wcze niejszej nauczki le eli my cicho. Rozbłysło wiatło a niedawno egnaj cy mat wrzeszczy:

- Co wojsko si gniewa, bo nie odpowiada!

- Z koja raz – na kojo dwa!

I tak kilka razy. Widocznie zabawa mu si znudziła, bo rzucił tylko – spa ku...wa! i ju go nie było.

Le ałem w milczeniu podobnie jak i reszta. Nikt z nas si nie odzywał, bo i po co. Ka dy na swój sposób rozmy lał nad prze yciaми minionego dnia. Ró ne my li kołatały mi po głowie. Kiedy pomy lałem, e przyjdzie mi tu sp dzi dwa lata ciarki przeszły mi po plecach. Jak w kalejdoskopie zacz ły mi si przesuwa w my li obrazki z dzieci stwa, kolonii i ostatnich dni w cywilu. Pomy lałem o rodzicach, dalekich ciotkach i wujkach i zapadłem w sen.

- Pooobudka! – wstawa – docierało do mnie jakby z oddali.

Okrzyk ten raz si oddalał, raz przybli ał, widruj c umysł. Otworzyłem oczy. Wzrok padł na biały sufit. Gdzie ja jestem? Po chwili gwar odgłosów dochodz cych z sali z całym bólem uprzytomnił mi, e jestem w wojsku. Na dole ju rz dził gniady. Szybko zeskoczyłem z koja. Na spodenki gimnastyczne i podkoszulk zabroniono nam zakłada workowatego zielonego dresu. Wychodzimy na zapraw . Zbiórka na korytarzu! Ustawiali my si niezdarnie, jeszcze z resztkami snu.

- Pluton na zapraw !

Padaj cy nieg i lekki mróz całkowicie pozbawił mnie resztek snu. Na zewn trz panowały ciemno ci. Jedyne plac apelowy rozja niony kilkoma lampami i pobielony wie o spadłym niegiem był widoczny. Biegali my wokół niego z pi tna cie minut. Gniady si nie wysiłał. Stał w miejscu. Chyba mu było zimno, mimo zało onej panterki z imitacj futra przy kołnierzu, bo po chwili stoj c w kompanijnym oknie dyktował nam tempo. Co ciekawe nikt z nas si nie dziwił tej rannej zaprawie. My l , e ju wtedy wiedzieli my, e o adnym prote cie nie mo e by mowy, a spełniaj c polecenia nie nara amy si na szykany. Jak szybko mo na zmieni psychik człowieka, a on sam szybko potrafi si dostosowa do nowych warunków. Jeszcze dwa dni temu było to nie do pomy lenia, a dzisiaj biegam w gaciach po niegu.

- Człowiek nie winia wytrzyma wszystko – podkre lał przy lada sposobno ci mat Kocha ski. Kombinowałem jakby tu zapali papierosa. Wybiegaj c na zapraw odruchowo chwyciłem paczk „sportów” i zapałki licz c, ze uda mi si gdzie odpali . I nie pomyliłem si . W ko cu placu, w do znacz cej odległo ci od okien kompanii znajdowała si wielka tablica z obja nieniami zasad prawidłowego zachowania si na strzelnicy. Była ona na tyle spora, e po chwili biegn c odskoczyłem od reszty i ju po chwili chowaj c si za ni miłem papieroska. Po kolejnym okr eniu doł czył do mnie Wiesiu. Rechocz c ze miechu, e si nam udało, przy ostatnim obiegni ciu placu doł czyli my do reszty nie b d c zauwa onym przez naszego mata. Zawsze, gdy tylko była taka mo liwo korzystałem z tego miejsca, na tyle skutecznie, e nikt nigdy mnie na tym nie przyłapał.

Po niadaniu zacz ły si zaj cia na wietlicy. Były one na tyle dobre, e siedzieli my w cieple i w pomieszczeniu, kiedy za oknem szalała zimowa zamie . „Przechlapane” mieli my dopiero po godzinie pi tnastej kiedy kadra zawodowa udawała si do domu, a dowódca kompanii wydawał słu bie dy urnej polecenia docierania młodego wojska. Wtedy to wszystko zmieniało si jak za dotkni ciem czarodziejskiej ró d ki. Nie wiem co dzisiaj jest plag w wojsku, ale za moich czasów był to alkohol obecny wsz dzie i o ka dej godzinie. Pito na pot g i na umór. My jako młode wojsko na razie mogli my tylko o tym pomarzy , a mimo to, na plakacie zwalczaj cym skutki picia widniał napis; „Wódka to Twój wróg”! Korzystaj c ze sposobno ci, ze mnie nikt nie widzi, dopisałem pisakiem: „Dzielny ołnierz nie boi si wroga”. Spodobało si to głównie rezerwie, kadrze mniej. Na ka dy nowy plakat wywieszany na korytarzu ju kto zawsze do ko ca mojej słu by wojskowej dopisywał moj my l. W ten sposób niejako przeszedłem to tradycji batalionu zabezpieczenia. Najwi cej wszelkich wyskokowych napitków spo ywano w dniu płacenia ołdu. Ju od popołudnia „poci gano” skrycie na ołnierskich salach, które po wyj ciu kadry zamieniały si w sale biesiadne. Kiedy rezerwista z innej sali tracił wiadomo od alkoholowego ci gu wołał resztk sił czterech młodych. Ci wraz z kojem i pijanym marynarzem sun li po hollu gło no przy tym wyj c niczym karetki pogotowia czy

straty po arnej. W jego sali zostawiało się go na miejscu czmychając jak najprędzej, bowiem inny pijany rezerwista wymagał odtransportowania. Tak miały pierwsze dni w tym cyrku wariatów. Chodzili my niewyspani, bowiem w załogach cisza nocna była od 22:00 do 6:00, ale nas to nie dotyczyło. Kiedy z nowo wcielonych do armii otrzymałem od podoficera dyurnego tzw. PPK, czyli Praca Poza Kolejnością. Z nastaniem ciszy nocnej byliśmy wykorzystywani do różnych prac. Najczęściej do sprzątania budynku kompanii, gdzie pastowali my lamperzy, a wszystkie klamki i lustro czyszczono pastą do...zębów. Najbardziej stresujące zajęcie polegało na sprzątaniu korytarza, a raczej jego posadzki. W tym celu przynoszono dwie olbrzymie skrzynie trocin. Na szczotkach znajdowało się przeważnie 5 osób. Na komendę podoficera dyurnego, udając odpalenie motoru i warcząc brum...brum rzucali się z dzikim zajądłem na posadzkę wykonując szczotkami energiczne ruchy. Aby nie odbywało się to na sucho wylewano kilka wiader wody na biało - czarny terakot. 2 metry za szczotkami wysypywano trocinę, których było prawie do kostek. Teraz stojąc na nich trzeba było wykonywać ruchy przypominające nieudolne tany. W ten sposób trociny wchłaniały nadmiar wody, a jednocześnie nie służyły jako szmata. Gdy padała komenda – zmiana!, ci z trocin łapali za szczotki, a oni wskakiwali na trocinę. Było to bezsensowne i miało chyba jedynie na celu upokorzyć młode wojsko. Pewnego razu, a było już dobrze po północy, miałem pracę poza kolejnością do 3:00 nad ranem. Ponoś taki a nie inny wpływ na to, miało skumulowanie kar, które tylko sam Bóg raczy wiedzieć, od kogo je otrzymałem. Załapałem się na czyszczenie toalet. Za pomocą cegły drapałem porcelanowe niby muszle i kafelki. Sanitariaty kadry były bardziej normalne, z drzwiami i klozetów muszli wraz z sedesem. Zmęczony postanowiłem usiąść na niej na chwilę, aby nieco odpocząć. Sam nie wiem kiedy zmorzył mnie sen. Nięli mi się moje cywilne życie, dom, praca. Nagle zerwałem się mogąc złapać tchu. Nie wiedziałem w pierwszej chwili co się ze mną stało i gdzie się znajduję. Ocierając rękoma wodę spływającą mi do oczu zauważyłem niedaleko mnie podoficera z pustym już metalowym wiadrem. Widząc, że na chwilę zasnąłem zakradł się i to wykorzystał w perfidny sposób.

- Co jest młody? Spałeś wam zachciało, a sracz się sam posprząta – odezwał się do mnie.

- Obywatelu mat - melduj, że usiadłem za potrzeb!

- Co wy mnie rezerwistę chcecie okłamać!

I naraz jak nie wrzucił:

- Srali cię przy zamkniętej desce?

- Dobrze, pójdziecie spać, jak się załatwicie, zawołacie mnie, a ja sprawdzę czy mnie nie okłamaliście – zrozumiano!

- Tak jest – odparłem bez namysłu.

- A teraz biegiem na salę załogową suchy dres, czas wykonania polecenia 2 minuty.

Skoczyłem niby ko na gonitwie. O dziwo sala ołnierska była pusta, a moi koledzy podobnie jak i ja zmagali się z rezerw a raczej ich wymysłami. Biegając w suchym dresie znalazłem się w dla mnie nieszcz śnym kiblu. Co ciekawe, cała zło i ch przeciwstawienia gdzie się ulotniła. Podobnie moim kolegom. Byli my jak bezduszne roboty wykonujące nawet najgłupsze polecenia ołnierzy starszego rocznika. Zastanawiałem się teraz, do której mi tu przyjdzie tkwić. Przebiegając koło podoficerskiego stolika zauważyłem, że nie ma jeszcze godziny 2. Do pobudki jeszcze cztery godziny. Skąd ja mu teraz

g... no znajd. Na swój organizm a raczej układ pokarmowy nie mogłem liczyć. Jako ta czynność wydalania na początku służyła uka dego z nas zaszwanowała. Prawie przez tydzie nie mogłem się opróżnić, a teraz mam tu zrobić na zawołanie. Jednak niezbadane są wyroki boskie. Kiedy stojąc koło kabiny prysznicowej rozmyślałem, nad moim losem – usłyszałem huknięcie drzwiami. Odskoczyłem od ściany i zapałem zacząłem czyścić wielkie lustro wiszące nad umywalką.

- No ja pier... l, kocię co jest ku... wa, podpadłe?

Bęknął mat Skotnicki, który za kilka dni wychodził do cywila, a cieszył się sporym uznaniem i ołnierzy jak i kadry.

- Nie bój się, za mało mi na liczniku zostało, żeby tu ciebie je... a, ja już jestem Pan, rozumiesz?

Zapach nie strawionej wódki doszedł do mnie.

- Wys... am się i mnie tu już nie ma.

Zatoczył się cięko, rozejrzał się przekrwawionymi od namiaru gorzałki oczami. - O wys... am się w kibelku kadry – stwierdził radośnie.

Usłuch nie otworzyłem mu drzwi. Usłyszałem odgłos stuknięcia i charakterystyczny dźwięk wydalanych gazów. Na moje szczęście w spłuczce nie było wody.

Wytoczywszy się z kabiny pogroził mi pięścią i kazał we wiadrze przynieść wody i sprzątnąć po nim.

- Wszystko będzie jak obywatel matka – odparłem.

Najbardziej mnie niepokoiło, czy pełniący służbę się zorientował, że kto korzystał z toalety. Z największą ostrożnością uchylałem drzwi i przez szpar zerknąłem w kierunku stolika dyurnego. Na moje szczęście nie było przy nim nikogo. Pełniący służbę w nocy, co jakiś czas chodzili na swój sal, aby się ogrzać, bo na hollu zawsze panował przeraźliwy zim. W muszli leżało moje wybawienie i nadzieja na sen. Była kupa i to ogromna, widocznie mat, albo zjadł duży, albo co najmniej od dwóch dni nie korzystał z wychodka. Aby nie dać ponieść się emocjom odczekałem z 20 min., nie robiąc nic. Kiedy uznałem, że nadszedł mój czas wyprysłem z kibelka jak z procy biegnąc w kierunku podoficera. Stanąłem na baczność i zameldowałem:

- Obywatelu mat, marynarz p... da melduje wykonanie polecenia zrobienia kupy!

- Ano zobaczymy – podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku ubikacji. Ja za nim ciekaw jak zareaguje. Otworzył drzwi i spojrzał w muszle.

- Fiu, fiu – gwizdnął pełen podziwu.

- Najeb... jeśli cie wedle rozkazu, nawet za duży, ale rozkaz to rozkaz.

Sprzęt nam to gówno i wypad na salę!

Mój pierwszy fortel wypadł nad podziw dobrze i o 2:45 drzwi z zimą leżałem już w swoim wyrku. Zasnęłem momentalnie i... błyskawicznie była pobudka. Wiadomość moich kolegów zakochała pracę o 3:00 a byli i tacy, co nie spali do pobudki.

Nie taki diabeł straszny...

Dzień nastąpił nie różnił się niczym innym od mijających. Codzienna „zaprawa” przed niadaniem, ryki rezerwy i poznawanie kadry, która w początkowym okresie nas nie zauważała, komunikując się z nami jedynie przez podoficerów. Tak było a do pierwszych zajęć z taktyki w terenie. Bodajże z dwa tygodnie po naszym wcieleniu zapowiedziano nam, iż jutro czekaj nas zajęcia w terenie. Nawet byliśmy zadowoleni, kiedy liczył na jakichś odmian, bo tak po prawdzie nosa nie wyściubialiśmy poza naszą kompanię. Broń przydzielono nam bodajże z trzy dni wcześniej, jednak dopiero po przysiedzeniu mogliśmy z nią pełnić służbę. Ja otrzymałem KBKAK ze składaną kolbą, chociaż bardziej mi „leżała” KBKAK AKM z drewnianą kolbą. Jak się nie ma czegoś lubi to, jeśli lubi co się ma i do końca mojej służby nie rozstałem się z moją giwerą. Nawet dzisiaj potrafi bez zastanowienia podać jej numer seryjny. Wtedy, podczas służby często budzono nas w nocy i kazano recytować numer broni przydzielonej. Biada temu, kto się pomylił, lub nie potrafił bezbłędnie odpowiedzieć. Oprócz wspomnianej broni wydano nam całą oporządzenie. Przerażenie mnie ogarnęło, kiedy ujrzałem ten cały kram, który na sobie było trzeba założyć. Wspólnie, przy pomocy kolegów pozapinano wszystkie paski troki. Obladowani niczym pierwsi amerykańscy kosmonauci na księżycu, biegliśmy na miejsce zbiórki na placu apelowym. Gorszej pogody już nie mogło być. Na zewnątrz przy parostopniowym mrozie szalała śnie na zadymka. Grafitowy kolor nieba wisiał nam dokładnie nad głowami. Uformowani w czwórki ruszyliśmy na niedaleki mały gaj, położony tuż przy morskiej skarpie. Padła komenda:

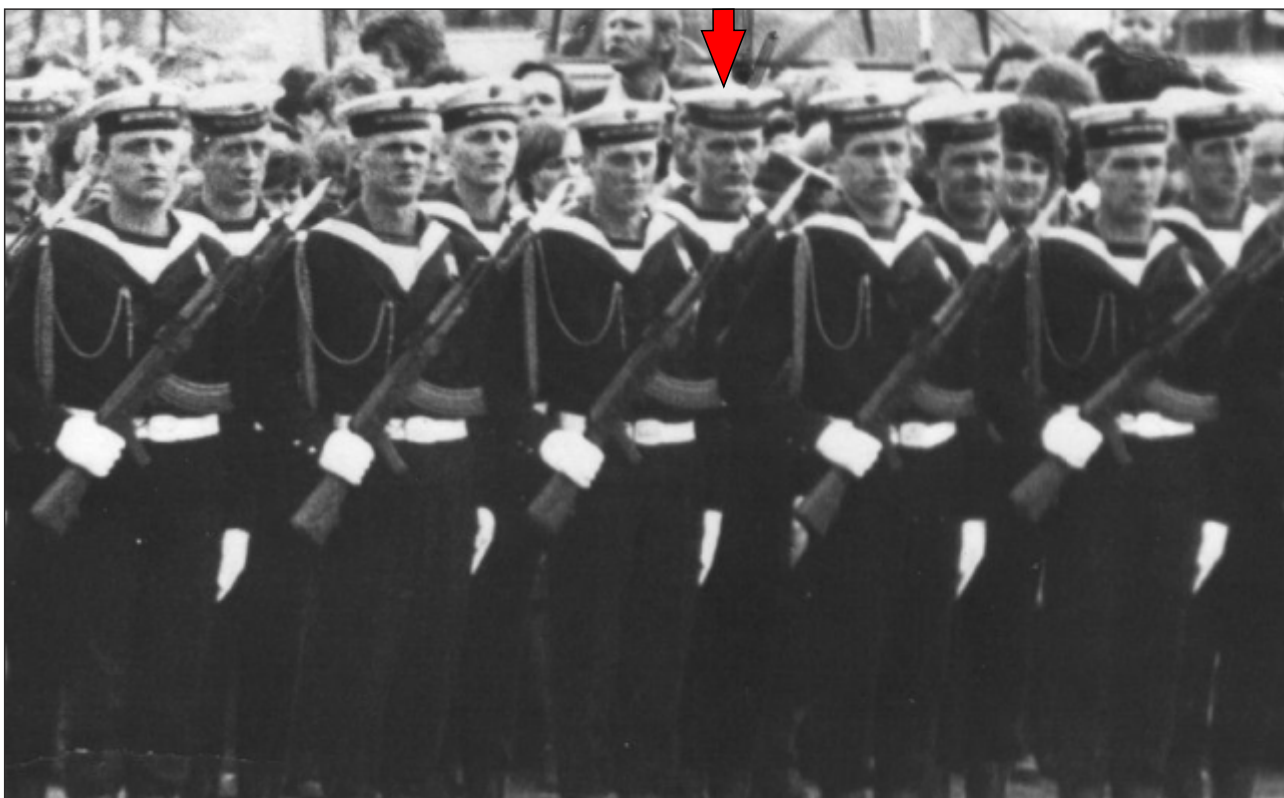
- Biegiem!

Ostry kłujcy nieg wciskał się dokładnie wszędzie. Za kołnierz, pod mankiety. Biegłem z innymi, kłując w duchu wszystko i wszystkich. Całe to tałatajstwo w postaci maski przeciwgazowej, OP – 1, ładownice, saperka i plecak, nie wspominając o karabinie utrudniało normalne poruszanie a cóż dopiero bieg. Po kilku minutach nikomu nie przeszkadzała nieg, ba, nawet był mile widziany, bo chłodził rozpalone

czoła i policzki. Nareszcie ukazał się plac wiczebny i zadanie, pod którym tłumaczono nam dzisiejszy temat wicze . Zapamiętałem go do dzisiaj, a brzmiał: „Taktika pojedynczego żołnierza na współczesnym polu walki”. Podzielono nas na drużyny i zaczęła się jazda, i to jaka, wszystkie wyczerpania i wysiłek w cywilu, był niczym w porównaniu do tego co nam zafundowano. Na początku padła komenda:

- Maski włożyć ! Zgrabiętymi z zimna palcami wyluskałem maskę i założyłem tak jak nam kazano. Co innego teoria, a co innego praktyka. Maskę za żadne skarby nie chciała się dać nałożyć na mokrych głowę i twarz. Dopiero perspektywa mata Gniewnego, który bez pardonu walił „oporniaczów” w kark, by może ułatwiła mi to zadanie. Okulary od razu mi zaparowały, i to tak, że nie widziałem dokładnie nic. Po chwili zaczęło mi brakować powietrza, a płuca zaczęły cięko pracować . Naraz sobie przypomniałem, o zatyczce w pochłaniaczu, zdjęłem ją i po chwili jako tako zacząłem oddychać . Przez ust puścił się par na okularach, zdjęłem zauważając, że wyglądały komicznie, jak stado słoń. Nagle rozległy się okrzyki:

- Lotnik – kryj się !



Odprawa wart na pl. Defilad w Warszawie. 9 maja 1978 r. (zdjęcie z archiwum Autora)

Łatwo powiedzieć kryj się , jak jesteście my na placu, bez żadnego zagrożenia czy krzaczka. W odległości około 200 m ode mnie zauważyłem wyraźne zagrożenie w ziemi. Ruszyłem przed siebie w tę stronę , pomny zachowania księzkowych bohaterów, co chwila padając i wstając . Kierunek i cel był już w zasięgu ręki, a za chwilę leżałem na dnem zagrożenia cięko dysząc . Musiało to wywrzeć wrażenie na podoficerach i

naszym chorującym, bo pozwolili mi zapalić papierosa, i to w czasie kiedy reszta biegła chaotycznie jak zajęce po polu. Okazało się, i tych zagłębieniach i naturalnych ukształtów terenu jest więcej. Były jednak niewidoczne przysypane sporym niegami i wtapiały się w krajobraz. Zwołano zbiórki. Wydano po drugim niadaniu. Tym razem był to boczek wędzony, bułka i kubek gorącej herbaty. Po tym posiłku jakoś lepiej zrobiło się na duszy. Zauważył to mój Kucharski, specjalista od okopywania się żołnierza na polu walki. Rypnął nas komendant wszystkich w niegami, a sam pokazał jak należy się prawidłowo okopać. Różnica polegała na tym, i on zrobił to w zasadzie niegami, a na nas czekała ziemia twarda jak skała. Leżąc na mokrym niegami byłem po chwili cały mokry, ale od potu. Na leżenie było cholernie kopać, a co chwilę któryś z matów darł mord:

- Niejdup, bo jaja ci nieprzyjaciel odstrzelił - i tak aż do znudzenia.

Około godz. 14:00 zbliżała się pora obiadu a zajęcie przerwano, by powrócić do nich nazajutrz. Westchnienie ulgi wyrwało nam się z piersi, widocznie w złym momencie, bo tym razem ruszyliśmy do przodu przez czołganie i pełzanie. Po kilkunastu metrach miałem wrażenie, że szoruję po niegami gołym brzuchem, wszystko miałem doszczętnie mokre. Kiedy kazano nam biec przyjąłem to z radością i pogałem do przodu niczym rebak, aby rozgrzać przemarznięte do szpiku ciało i kości. Budynek baraku wydał się oazą przytulności, a ciepło buchające z pieca obejmowało nas swoimi mackami. Po chwili przez zaparowane okna, od suszącej się odzieży, nie dało się niczego dostrzec, a gdy maszerowali my do kuchni na zewnątrz panowała nie na zawierucha w pełnym tego słowa znaczeniu. Dzięki niej udało się uniknąć zajęć przez dwa dni, a jedynym naszym bojowym sprzętem były wielkie drewniane łopaty do odśnieżania. Zaczęły pojawiać się pierwsze listy z domu. Ja też dostałem taki list, jednak zanim on trafił do moich rąk musiałem zaliczyć tzw. 10 „beków” (przebiegnięcie korytarza 100 m. - tam i z powrotem równało się jednej „becie”). Każda poczta cywilna z domu zanim została odebrana okupiona była albo „bekami”, pompkami, skrętoskłonami itp. Nie pamiętam, aby ktoś z nas przez okres „unitarki” otrzymał list bez ceregieli. Pierwsze wiadomości z domu podziały na kadego deprimująco. Było to widać po moich współtowarzyszach szukających odrobiny osamotnienia, aby w spokoju pomyśleć o domu. Wiadomości, które otrzymałem nie były budujące. Matka narzekała na nasilone objawy tarczycy i przygotowywała się na drugą operację. Ojciec bez granic oddawał się swojej pracy. Wychodził rano a wracał wieczorem. Reszta w normie, a na koniec pozdrowienia od cioci i wujków. Ciekawe, że teraz sobie o mnie przypomnieli, bo wcześniej nasze kontakty do ozywionych nie należały. W gorszej sytuacji byli koledzy mający dziewczyny w cywilu. Tęsknota a od nich wзираła na kilometr, a rozmowom o nich nie było końca. Ja na szczęście byłem w takiej sytuacji, i moje serce w obecnej chwili nie paliło się gorącym uczuciem do żadnej. Przed wojskiem życiowy scenariusz pozwolił mi zakończyć mój wielki miłośnik i z tego powodu było mi o wiele łatwiej.

A wojskowe życie powoli toczyło się naprzód. Już znałem budowę karabinu,

potrafiłem go rozebrać, wyczyścić i złożyć, zawsze jednak przy sprawdzeniu okazało się, że lufa jest brudna, chociaż ja miałem zgoła inne zdanie. Wtedy też nauczyłem się odpowiednio meldować, i broń jest przeczyszczona i gotowa do przeglądu, a nie wyczyszczona, bo jak wojsko wojskiem, jeszcze nikt nie widział wyczyszczonego karabinu. Najbardziej jednak lubiłem zajęcia polityczne, a tylko dlatego, że odbywały się na sali żołnierskiej lub na kompanijnej wietlicy. Setki razy powtarzałem nazwiska generałów i dowództwa nie tylko Marynarki Wojennej, ale i sztabu generalnego. Uczono nas także za pomocą kolorowych tablic odróżnienia sprzętu „NATO” od naszego. Poza tym wpajano nam jak wam jest układ warszawski z armią radziecką na czele. Z przyswajaniem tego materiału nie miałem najmniejszego kłopotu i po zaliczeniu testów opanowania wiadomości służyłem pomocą innym. Przysięga zbliżała się szybkimi krokami, toteż co wydaje się zrozumiałe – była przez nas oczekiwana. Jak na razie nie opuściły my jednostki ani razu, a nawet sobotnie kpię kompanii odbywały się na terenie portu wojennego. Którego dnia bym może zbyt pewny siebie, (jakby nie było miesiaca w wojsku) zamiast poruszania się biegiem po hollu zachciało mi się maszerować. Zauważył to szef i jak nie ryknął:

- Gaz!

W tym momencie powinienem biegiem udać się na salę po swoją maskę gazową. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy i też jak nie wrzasnął krótko nosem: - Nie czuj!

Szef zamienił się w słup soli.

- Granat k... wa... granat... młody.

Według instrukcji powinienem paść na ziemi, aby uniknąć rącenia odłamkami. Nie wiem do dzisiaj, dlaczego nie padłem i na dodatek odkrzyknąłem:

- Złapałem i odrzuciłem!

Szef kompanii zapewne w życiu niejedno widział, tym razem doszczętnie go zamurowało. Zdobył się tylko na kiwniecie palcem, co oznaczało „do mnie!”. Zameldowałem się przepisowo. Spojrzał na mnie i o dziwo – uśmiechnął się mówiąc:

- No podobasz mi się, bo d... ciebie miał na oku, a teraz wypadł na zajęcia!

Odmeldowałem się i jakoś rańniej zrobiło mi się na duszy. Nie tylko nie dostałem żadnej kary, ale wkradłem się w łaski szefa. Ten sam szef wieczorem przy wydawaniu czystych przez cierań przeczłgał prawie cały pluton, który b... d... c... w pobliżu jego pakamery ryczał w niebogłosy:

- Po to szef mi przez cierań dał, aby sobie na nim spać!

Wczoraj podczas wydawania kilka płócien spadło na posadzkę, co nie uszło bystremu wzrokowi szefa. W celu wyeliminowania podobnego błędu na przyszłość zarządził czołganie z meldunkiem. Była to na tyle skuteczna metoda, że następnie pobieranie z magazynku odzieńowego odbywało się wręcz wzorowo. Dwa dni później dałem się podejść ku uciesze reszty kolegów. A było to tak: Po kolacji, a więc

około 19:00 wieczorem podczas wieczornego apelu nasz dowódca drużyny poszukiwał trzech ochotników na przepustkę do Trójmiasta. Jako nie było chętnych, co mnie jednak nie zastanowiło. Już oczami wyobraźni widziałem siebie przy kuflu piwa po ród cywili. Zgłosiłem się natychmiast, zaraz po mnie dwaj następnicy.

- No orły – odezwał się mat Gniady

- Chcecie koniecznie wydostać się na miasto? – no to w porządku.

- Ty – wskazał palcem na mnie - pojedziesz do kibla przy świetlicy.

- Ty za – to do kolegi – pojedziesz do kibla przy magazynku.

- A ty – wskazując na rodkowego – zamieścisz korytarz.

Zgromadzeni ołnierze ryknęli miechem.

- Jakby nie było to macie Trójmiasto – zarechotał zadowolony ze swojego dowcipu.

- A bodaj ci szlag na miejscu trafił – pomyślałem i rad nie rad udałem się do kłosa gospodarczego po niezbędne oprzyrządowanie takie jak: miotła, wiadro i pierka. Miało to i dobre strony, ponieważ od tego momentu zrozumiałem, iż w wojsku nie należy się wychylać, ale i te nie były na szarym koniu.

Kolejne dni upłynęły na wpajaniu tekstu przysięgi i jej ceremonii. Dwa dni przed, zaplanowano uroczyste wręczenie broni. Zaproszenia zostały wysłane i nie pozostało nic innego jak tylko czekać na dawno niewidzianych rodzin jak i znajomych. W związku z tym pofolgowano nam nieco, co jednak nie oznaczało, że na brak zajęć nie mogliśmy narzekać.

Najważniejsza chwila w życiu ołnierza...

Nadszedł wreszcie dzień przysięgi. Z tej okazji wyfasowano nam mundury wyjściowe, w których już paradowaliśmy od rana. Od rana również na teren jednostki zaczęli przybywać zaproszeni goście. Tłoczyli się przed biurem przepustek, ponieważ przeprowadzane były kontrolne sprawdziny mające zapobiec wnoszeniu alkoholu na teren jednostki. Było mi trochę przykro, ponieważ wiedziałem, że matka moja przebywa w szpitalu, a ojciec sam bez niej nigdzie się nie ruszał. Nie miałem także pewności czy przyjedzie ktoś z dawnych kolegów. O moich rozterkach wiedział mój najbliższy kolega Wiesiek, który zadeklarował mi swoje towarzystwo i rodziny, abym nie czuł się samotny. Z niecierpliwością przez okno baraku wypatrywałem znajomej twarzy. Nagle, nie wierząc własnym oczom zauważyłem kolegę Bogdana, z którym w cywilu się zaprzyjaźniłem. Nie pozwolono nam jednak na spotkanie z nimi. – Dopiero po przysiędze – ponoć tak zdecydował dowódca jednostki bojąc się, że jego ołnierze mogą nadużyć napojów wysokich. Zarządzono zbiórki i po chwili waląc dziarsko podkutymi butami zmierzaliśmy na plac apelowy w pobliżu wielkiej, specjalnie ustawionej na tę okazję trybuny.

Gwoli cisko ci należy dodać, że nasza kompania poza zabezpieczeniem sztabu dowództwa marynarki wojennej pełniła również rolę kompanii reprezentacyjnej

marynarzy. Dostali my nie le w ko przed przysi g podczas nauki musztry. Trwała ona po kilka godzin dziennie. Aby my nie chodzili jak „kobyłka Piłsudskiego” przekładano nam pod pachami kij, lub bro . Miało to wyeliminowa wady postawy i zrobi z nas perfekcjonistów. Olbrzymie lustra na placu miały nam w tym pomóc.

Plac zapełnił si go mi, a i wy sze wojskowe władze pokazały si na trybunie. Hukn ła orkiestra, padły przemówienia o tym jaki spotkał nas zaszczyt a zaraz potem padł rozkaz:

- Do Przysi gi!

Jak za dotkni ciem czarodziejskiej ró d ki znikły berety z głów, a uniesione dwa palce prawej r ki do góry spot gowały wra enia wszystkich.

... niech mnie dosi gnie surowa r ka sprawiedliwo ci ludowej – padły ostatnie słowa tekstu przysi gi.

Byli my teraz ołnierzami z obowi zkami i odpowiedzialno ci za ich wykonanie. Przed trybuna honorow walili my buciorami w beton tak, e a iskry leciały. Rozległy si oklaski co jeszcze nas bardziej zmobilizowało do paradnego marszu. Na polecenie dowódców dru yn zdawali my bro do magazynku i nic ju nie stało na przeszkodzie by spotka si z rodzin . Widziałem witaj cych si serdecznie, z rodzicami, siostrami bra mi, niektórzy z dziewczyn . Roze miani i rado ni kierowali si na wietlic i sale ołnierskie. Nie spieszyno mi si nigdzie, ale po chwili serdecznie witałem si z Bogdanem. Jego matka nie zapomniała o mnie, a w przepastnej torbie nie zabrakło cywilnych paczek i paczuszek. Zamiast soku w kompocie truskawkowym znajdował si czysty ... spirytus. Poprawiło mi to humor nieco. Chłon łem niczym g bka wod informacje od rodziców i znajomych, które mi przekazywał. Atmosfera na sali gimnastycznej, bo tam siedzieli my, robiła si coraz bardziej radosna. Na zastawionych suto stołach ciastem domowym i innymi smakołykami pojawiały si kieliszki i wódka. Nie byłem gorszy i po chwili waln łem kielicha, potem drugiego i nast pnego. Raz po raz witali my si z rodzinami kolegów, ka d tak znajomo piecz tuj c kieliszkiem wódki. Pojawiali si i ołnierze starszego rocznika. Z oci ganiem, ale i wyra nym zadowoleniem uczestniczyli w tej biesiadzie, jakby wcze niej nie wiedzieli, e gn bienie kotów sprawiało im przyjemno . Czas upływał niepostrze enie szybko, a w głowie coraz bardziej szumiało. Dowódca widz c co si wi ci zakazał spo ywania alkoholu. Odniosło to taki skutek, ze pito teraz ukradkiem. Nie wiadomo, kiedy zapadł zmierzch i nadszedł czas po egnania. Jeszcze ostatnie u ciski, odprowadzenia do koszarowej bramy i po chwili w całej jednostce nie było ani jednego cywila. Kazano nam wszelkie pozostało ci po biesiadzie zanie na nasz sal i rozło y na kocu na podłodze. Czego tam nie było. W dzone kiełbasy domowego wyrobu, słodycze, papierosy no i kilka butelek wódki przemyconych nie wiadomo jakim sposobem. Wokół tego, jak s py czekaj ce na ofiar , kr yli nasi dowódcy dru yn oraz ołnierze rezerwy. Kazali nam wyj na korytarz i czeka . Zawołali nas na sal , kiedy

dokładnie podzielili produkty pomiędzy siebie. Nasze protesty nie zdały się na nic, kilku niezadowolonym z takiego obrotu sprawy kazano się czołgać pod łókami. Nie wytrzymał Boguź z Nowego, doskoczył do rezerwisty objadającego się jego kiełbasami. Na to czekali tylko dowódcy drużyn. Kazali mu założyć na siebie trzy „panterki”, kurtki z futrzanym kołnierzem. Pomiedzy nogi wsunęli mu beret, który miał ciskać kolanami tak, aby nie wyleciał. W wyciągniętych rękach trzymał taboret. Jakby tego było mało, musiał plecami oprzeć się o rozpalony piec i wykonywać przysiady. Po chwili był cały mokry od potu. Patrzyłem na to ze wściekłością. Jeszcze dwie godziny temu „przeładowcy” niczym liski chytruski bratali się z nami, a teraz pokazują swoją władzę. Po 50 przysiadach, a musiał je liczyć, dano mu tzw. „odbój”, inaczej mówiąc zaprzestanie ćwiczeń. To, co złożyli mi przysięga nie oznacza, że możemy używać starymi odzieniami. Taki stan rzeczy ma trwać, a do następnego poboru, czyli jeszcze z 3 miesiące. Wtedy te bzdury mieliśmy. Z uczuciem ulgi położyłem się na kociołku. Szumiało mi w głowie i po alkoholu i po ostatnich zajęciach. Dało się słyszeć chrapanie innych i sam nie wiem kiedy zapadłem w sen. Było jeszcze ciemno, kiedy wyrwał nas ze snu sygnał pobudki. Ogłoszono już dwie godziny wcześniej, bo jak określiły dyurny: - trzeba wam zrobić odparowanie alkoholu.

W tym celu biegaliśmy prawie dwie godziny wokół placu apelowego. Aby nie było nam za łatwo co drugie okrążenie musieliśmy zaliczyć w przysiadzie. Padały komendy: -

- Za pięć chwytów!

- Ręce przed siebie i abie skoki!

Zabawisko czytało się na 10 min. przed przyjazdem do jednostki kadry zawodowej. Sam słyszałem jak podoficer dyurny meldował:

... że poza parowaniem alkoholu młodego rocznika, nic ważnego podczas pełnienia służby nie zaszło!

Służba nie drużba...

Po zaprzysiężeniu nas przybyło nam o wiele więcej obowiązków. Poza ćwiczeniami z musztry i służbą wartowniczą nic od nas więcej nie wymagano. Warta pełniona była w budynku dowództwa Marynarki Wojennej w Gdyni w samym jej centrum. Po godzinie 21:00 latem pełniona była na zewnątrz. Do obowiązków wartownika stojącego przy drzwiach do dowództwa należało sprawdzanie przepustek, a na widok generała czy admirała należało głośno wrzasnąć:

- Uwaga!

Po to, aby oficer dyurny miał czas na wybiegnięcie z dyurnki i złożenie meldunku.

Na pierwszej warcie na posterunku nr 1, czyli w głównych sztabowych drzwiach, co chwila ryczałem:

- Uwaga!

Myliły mi się oznaczenia stopni na rękawach marynarskich. O ile ółty pasek podporucznika czy kapitana była w rękawie, to już komandora wyglądał mi niemal na rękaw admirałski. Nic dziwnego, kiedy generał Kamiński z wiceadmirałem Janczyszynem wchodził do budynku, to nie ryknąłem uwaga!, z obawy kompromitacji. W oficeradyurnego jakby grom z jasnego nieba strzelił. Na ich widok zerwał się od stołu przewracając lampę na biurku. W pościechu poprawiał oficerski kordzik, aby po chwili zameldować się oficjelowi. Oj dostało mi się od niego wtedy. Zwymyślał mnie od ostatnich oferm i łajz. Uspokoił się dopiero, kiedy dowiedział się, że to pierwsza moja służba. I tak do końca mojej pierwszej warty wywołałem go jeszcze ze dwa razy, ale na szczęście wybaczył mi mój nadgorliwość. O wiele lepiej było po godzinie 21. Patrolowało się na odcinku bramy wjazdowej na dziedziniec sztabu, a do kina „Goplana”. Skwer Kościuszki latem tętnił życiem i działo się na nim wiele ciekawego. Pewnego razu pełniąc służbę na zewnątrz zostałem zaczepiony przez kobietę. Jak wyjątkowo nazywała się „Królowa Morza” i prosiła aby jej zdrowo... przysłać pasem marynarskim. Była przy tym tak natarczywa, że rad nie rad spełniłem jej prośbę. Tak się to jej spodobało, iż zaczęła się domagać więcej. Kiedy odmówiłem, postraszyła mnie, że pójdzie zameldować oficerowi dyurnemu. Kazałem jej wynosić się w diabły i chyba tak zrobiła, bo już jej osobicie nie spotkałem. Kiedy indziej dwóch podchmielonych gości chciało koniecznie postrzelać sobie z mojego karabinu. Dopiero przeładowanie broni i wymierzenie w ich kierunku - ostudziło ich zapał. Najgorsza przypadła mi, jaka mogła zdarzyć się na warcie to parcie na przecharz, a już nie daj Boże na kiszki stolców. Dopadło to i mnie. Prosił o zmianę z powodu sraczki było jako niezręcznie, a i ja nie słyszałem o podobnym wypadku. W centrum miasta, otoczony kamienicami nie mam takiej możliwości jak wartownicy stojący w lesie. Duszę w sobie ów problem do momentu, kiedy trzeba było podjąć radykalne działanie. Temu, kto wymyślił marynarskie spodnie, a raczej sposób ich zapinania brakowało chyba wyobraźni. Sama procedura ich odpinania trwa na tyle długo, że może się niekiedy okazać, że za długo. Pomny tego, że gdy się człowiek spieszy to się diabeł cieszy, zawczasu odpiłem guziki w pobliskiej kamienicy. Moja determinacja była na tyle silna, że byłem gotów zrobić to teraz i w tym miejscu. Zdjąłem karabin, kiedy usłyszałem odgłos otwieranych na pięć drzwi. Rad nie rad odstąpiłem od zamiaru. Ciskając nieszczęsne spodnie w garci wyszedłem na ulicę. Na szczęście wzrok padł na zarośla po drugiej stronie ulicy. Dziwne, że wcześnie takiej możliwości nie dostrzegłem. Po chwili z uczuciem ulgi wróciłem w rejon patrolowania. Ośmiadnych konsekwencjach nie mogło być mowy, a ja dzięki temu nie musiałem słuchać złoliwych docinków ze strony dowódcy warty jak i kolegów, tak jak to miało miejsce u marynarza Fabisiaka. Na początku służby w wartowniczej czysto zdarzało

spa mi si na stoj co w marszu. Dopiero zderzenie z murem przywracało zdolno logicznego my lenia i postrzegania. Było i tak, ze wydawało mi si , i w kierunku wartowni zmierza oficer dy urny a ja oddawałem mu nale ne honory. Kiedy przez okno wartowni zauwa ył to dowódca warty. Spanikowany zarz dził „wart pod bro ”, aby nale ycie powita nadchodz cego oficera. Kiedy ten si nie pojawił, zawołał mnie i zapytał o niego. Był pewny, e szedł do nas, a ja oddaniem honoru go w tym upewniłem. Sam zachodziłem w głow jak si to dzieje, tym bardziej, e podobnych wydarze było sporo. Wy tłumaczyłem, e oficer udał si w stron gara y i kierowców, którzy przez 24 godziny musieli by gotowi do wyjazdu. Nieraz ich czarne „Wołgi” w godzinach wieczornych i nocnych wyje d ały ze sztabowego dziedzi ca, a ja otwierałem im bram . Którego razu, a na zewn trz panował pot ny mróz i zamie , okutany po szyj w specjalny ko uch wcisn łem si do budki wartowniczej, aby chocia na chwil osłoni si przede podmuchami lodowatego wiatru. Miejsca w niej nie było sporo, ale dawała jako tak osłon . Było w niej na tyle przytulnie, e nawet nie wiem, kiedy sen skleił mi powieki. Nagłe targni cie mn i pot ny łoskot wyrwały mnie ze snu. Nie wiedziałem w pierwszej chwili co si stało.

Dopiero po chwili zrozumiałem, e przewróciłem si z budk wartownic z . Wygramoliłem si z niej i podniosłem do góry, a po kilkunastu sekundach przez okno wartowni rozległ si głos dowódcy warty wołaj cy mnie:

- Wartownik! Co to za hałas był przed chwil ...
- Hałas? – udałem zdziwienie i po chwili dodałem
- Obywatel chor y co słyszał? Nic si nie stało, to spadły sople, które zwisały z dachu.

Tak po prawdzie to zwisały par dni temu. Ka dy z wartowników pełni cy wart na dziedzi cu zabawiał si ich str caniem. Chor y uspokoiony zamkn ł okno, a ja ju podczas tej słu by oka nie zmru yłem, nawet na zmianie odpoczywaj cej, kiedy ka demu wartownikowi przysługiwała twarda prycza na odpoczynek. Słu ba wartownicza na dziedzi cu nie nale ała do ulubionych. Z ka dej strony otaczały go sztabowe budynki, a sam plac wyło ony betonow kostk był połow wielko ci boiska piłkarskiego. Miał jednak mocny argument w postaci zaplecza garnizonowej kantyny. Nabierało to znaczenia podczas wi t. Zawsze pełni c wart mo na było liczy na smakowity k sek jak i na co mocniejszego. Rzecz jasna, odbywało si to bez przyzwolenia kadry kasyna, dzi ki yczliwo ci kolegów tam odbywaj cych słu b . Podobnie reagowali mieszka cy Gdyni. Zawsze w wieczór wigilijny, czy dzie wi teczny przynosili drobne upominki, ycz c przy tym spokojnych wi t.

Szara rzeczywistość żołnierza ...

W kilka dni po przysiędze załapałem się na pierwszy przepustkę na garnizon Gdynia. Akurat dostałem ołd. Papierosów nie kupowałem ponieważ co drugi dzień dostawali my przydziałowe opakowanie „Sportów”, a i niepalący odstępowali swój przydział. Wyjściowy mundur musiał być regulaminowy. To, że młody żołnierz wyglądał w nim jak strach na wróble nie miało znaczenia. Starszy rocznik przerabiał czapki, a głównie spodnie. W tym celu na specjalne modeleczki zrobione ze sklejek, naciągano nogawki polewając je gorącą wodą. Kiedy wyschły woskowano je za pomocą gorącego elazka. Musiały być nieprzepisowo na dole szerokie, a kanty ostre jak brzytwa. Nam tego na razie nie wolno było robić. Biada, kiedy na biurze przepustek dostrzeżono by zmiany. Za to musiał być obowiązkowy kartonik, do którego przyszyte były zapasowe guziki, wpięta igła z nitką. To tak na wszelki wypadek. Na przepustkę udałem się z dwoma kolegami z plutonu. Z Oksywiu do centrum Gdyni to kawałek drogi. Kiedy podjechał autobus rozsiadli się wygodnie. Po kilkunastu minutach byliśmy na Skwerze Kościuszki, niedaleko miejsca, w którym przyszło nam pełnić warty. Z wrażeń oddawali mi honory komuś popadło. Ja swój pierwszy oddałem osobnikowi w ... kolejarskim mundurze. Koledzy oddali leśnikowi i uczniowi szkoły morskiej. Tak nas zebrała panika. Dopiero po kilkunastu minutach zdołaliśmy się nieco opanować i z daleka już rozpoznawać do kogo mundur należy. W pijalni piwa niedaleko „Róży Wiatrów” z uczuciem ulgi sięczyliśmy kufłowe piwo. Tak po prawdzie to nikt z nas nie wiedział, co należy na przepustce porabiać. Obce miasto, adnych znajomości, a szwendanie się po mieście raczej nie wchodziło w rachubę z powodu licznych patroli wystawianych przez Komendę Garnizonu. Towarzystwo wokół nas nie było ciekawe. Paromiejscowych uli z wymierzonymi granicami od przepicia, wyrażenie z nami szukało zaczepki. Nie chcieliśmy ich prowokować, a i nie w smak nam było, aby pierwsza przepustka zakończyła się bijatyką. Kupiliśmy parę butelek „elbląskiego” i na pobliskiej plaży, pustej wczesnym wiośnie, dopiliśmy je. Do jednostki zabraliśmy się ze zmian warty przed sztabem, gdzie około godziny dziewiętnastej. Jako nikt nam z racji wypitego piwa na kompani nie dokuczał i do samej nocnej ciszy nic godnego uwagi nie zdarzyło się.

Od paru dni wszystkim zaprzętało głowy pierwsze ostre strzelanie na ocenę. Czekałem na nie z niecierpliwością. W cywilu miałem okazję postrzelać z broni sportowej i to z niezłymi wynikami. Byłem ciekaw jak się to przełoży na prawdziwego. W piątek od samego rana wieciało ciepłe wiosenne słońce. Lekki wietrzyk szumiał w koronach topoli otaczających jednostkę. Kiedy zajęłem stanowisko strzeleckie poczułem dreszczyk emocji. Po krótkim przypomnieniu zasad strzelania i wydaniu trzech ostrych naboju całą uwagę skupiłem na oddaniu strzału. Wstrzymałem oddech zgrałem muszkę ze szczerbink i nacisnąłem spust. Suchy odgłos wystrzału odbił się echem po okolicy. Kiedy padła ponowna komenda:

- Ognia! - dokładnie powtórzyłem wszystkie wyuczone czynno ci. Celowali my do tarczy z popiersiem ołnierza z odległo ci 100 m. Mierzyłem w miejsce styku sylwetki ołnierza z białym paskiem. Jakie ogarn ło mnie zdziwienie, kiedy na miejscu przy tarczach dowiedziałem si , e wystrzeliłem dwie 10 i jedn dziewi tk . Był to wynik dnia. Zostałem wyró niony rozkazem dowódcy kompani i nagrodzony trzydniowym urlopem nagrodowym. Na urlop pojechałem na pocz tku lipca. Kiedy wysiadłem na peronie w Chojnicach ogarn ło mnie wzruszenie, podobnie jak i przy spotkaniu z rodzicami. Po krótkiej rozmowie z nimi, solennie obiecuj c powrót w godzinach wieczornych udałem si rzecz jasna w marynarskim mundurze na miasto. Pierwsze kroki skierowałem do Bogdana. Okazało si jednak, i przebywa na wakacjach w niedaleko oddalonych od miasta Charzykowach. Znalazłem si tam po kilku minutach. Zauwa yłem ju w miejskim autobusie, ze mój marynarski mundur wzbudzał zaciekawienie. Dumnie wypinałem pier kieruj c si do centrum letniskowej miejscowo ci. W pobliskim ro nie z wyszynkiem piwa butelkowego dowiedziałem si , e Bogdan tu przed chwil spu cił niezłe manto facetowi, który naubli ał dziewczynie. Mijam małe domki zanurzone w g stwinie drzew i po chwili jestem przed ółtym budynkiem o rodka wypoczynkowego PKP. Na powitanie otrzymuj w prezencie skrzynek piwa, z któr jako ołnierz nie walcz długo. Pierwszy dzie mija na pija stwu. Rano na drugi dzie nie zamierzam pi , bo nazajutrz musz zameldowa si w jednostce. Co innego postanowienia, co innego ycie. Towarzystwo doborowe, dziewczyny, koledzy, a al odje d a . Do teraz si zastanawiam, co wtedy mi odbiło. Wiedziałem, e poszukuje mnie andarmeria, bo pojawiła si w pobliskiej restauracji wypytuj c o marynarza. Ja sam wtedy ubrany byłem w dres, tak, e trudno we mnie było rozpozna obro c ojczyzny. Dopóki trwał pijacki amok, dopóty nie my lałem o konsekwencjach. Zacz łem o nich my le dopiero po upływie tygodnia. Wszyscy mi doradzali powrót do jednostki. Łatwo im było mówi skoro byli cywilami. Zało yłem pognieciony mundur wyj ciowy i marynarsk koszulk nie pierwszej wie o ci. Pod o rodkiem czekała „Nysa” z o rodka, która w ten dzie w sprawach słu bowych miała pojecha do Gda ska. Z ci kim sercem zaj łem miejsce na ceratowej kanapie i ruszyłem ku mojemu przeznaczeniu. Sam nie wiem, kiedy dojechali my do Gdyni. Po egnąłem kierowc i co dalej? Jednak uznałem, ze trzeba dotrze na Oksywie. Ju w pobli u jednostki zaszyłem si w krzakach i obserwowałem co si dzieje. Nic si nie działo, a jednostka t tniła swoim yciem. Wszedłem z ukrycia i skierowałem si do swojej kompanii. Podoficer dy urny a zagwizdał na mój widok ze zdumienia. Po chwili meldowałem si u dowódcy. Bez ogródek stwierdził, e si doigrałem i kazał mi spie ... la ! Byłem zaskoczony takim łagodnym obrotem sprawy. Z plutonu nikogo nie było z racji zaj . Usiadłem na taborecie z uczuciem ulgi – jako to b dzie. Pomyliłem si nieco w przypuszczeniach. Ju po 15 godzinie zacz ło si mi wybijanie samodzielnego oddalenia. W tym celu z mask na twarzy biegałem po holu.

Momentami brakowało mi tchu. W momentach kryzysu i zw tpienia dodawałem

sobie otuchy też wpojon mi w wojsku „człowiek nie winia wszystko wytrzyma. Zmniejszanie mnie jako czyło się przed 22:00, a na sali jako nie kwapiłem się z nikim do rozmowy. Nazajutrz po rozmowie z kolegami okazało się, że przeze mnie mieli „przechlapane” w moim i powiedzenia - jeden za wszystkich wszyscy za jednego. Nic nie miałem na swoje usprawiedliwienie, ani nie zamierzałem się z tego tłumaczyć. Gorzej wyglądała sprawa ukarania mnie. Z tego, co usłyszałem groził mi pobyt w jednostce karnej w Orzyszu. Rozkaz w tej sprawie miał być odczytany na apelu z okazji wstąpienia 22 lipca, a wstąpienie nazajutrz. Od samego rana byłem jakby nieswoj. Perspektywa Orzysza nie napawała optymizmem, chociaż starsi przy każdej okazji podpowiadali mi:

- Przejdiesz unitarkę i Orzysz to na wojsko ch... j połoysz.



*Słuba słub, ale odycia te się co należało. Dyskoteka w jednym z liceów.
(zdjęcie z archiwum Autora)*

Unitarkę, czyli okres szkolenia „kociarstwa” miałem już za sobą, to jednak Orzysz rysował mi się mgliście. 22 lipca 1978 r. wraz z resztą kompanii stanąłem na uroczystym apelu batalionowym. Czekałem w napięciu, kiedy padnie moje nazwisko i kara, jaka miała mnie spotkać. Nic takiego się nie stało. Otóż rozkazem ministra obrony narodowej z okazji wstąpienia do Polski wprowadzono amnestię, pod którą się załapałem. Kamień spadł mi z serca i wiat od razu wydał mi się przyjazny. Wszyscy naraz zaczęli klepać mnie po plecach mówiąc, że mi się udało. W taki oto sposób sam generał Jaruzelski wybawił mnie z nieładnych tarapatów. Jednak na urlop za pierwszy rok służby pojechałem dopiero późną jesienią. Kilka dni później odbyło się kolejne strzelanie. Zajmłem pierwsze miejsce, a konsekwencją tego był awans na starszego marynarza. Czekano mnie tzw. „gaszenie peta” w związku z naszymi na pagonie. Polegało one na wylaniu kotła wody. Najczęściej odbywało się to podczas

snu, kiedy awansowany dał się zaskoczyć. Postanowiłem nie dać rezerwie takiego powodu. Czuwałem prawie do rana, kiedy ok. godz. piątej nad ranem zachciało mi się skorzystać z toalety. Zwlokłem się z łóżka zadowolony, ale nie dałem się zaskoczyć podczas snu. Nie doceniłem jednak cierpliwie ci rezerwy. Kiedy otworzyłem drzwi do przybytku poraził mnie strumień lodowatej wody z wieszaka strażackiego. Skurczybyki nie przejmują się niczym, podłaził czyli się do hydrantu i czekali na mnie prawie do pobudki, aby uderzyć. Tradycji stało się zadość, a ja musiałem się nie lekceważać, aby zdążyć zebrać wodę z korytarza i toalety, do czasu pobudki. Podobnie rzecz miała się z „przybijaniem blachy”. Była to odznaka wzorowego żołnierza. Nagrodzony musiał przejść rodzkiem szpaleru ustawionego na korytarzu. Kiedy w rękę trzymał pas i walił przechodząc go z wycigniętymi rękami w tyłek, a dudniło. Trzeba było nie lada samozaparcia, aby nie przyspieszyć kroku, a co gorsza prosić o litość. W takim przypadku ceremonia rozpoczynała się od nowa.

Kadra nie wtrącała się do tego. Ulubionym rozwijaniem problemu było zapytanie:

- Chcesz regulaminowo czy po ojcowsku? Rzecz jasna, kiedy wołał po ojcowsku. Taka kara nie była wpisywana do rozkazu, a jedynie sinofioletowy tyłek wiadczył, że została wykonana. Kiedy padły słowa egzekutora kary:

- Za czubki butów chwyć!

Należało nie zginąć nóg w kolanie, uchwycić buty. W takiej pozycji przyjmowało się uderzenia pasem. Ich ilość uzależniona była od rodzaju przewinienia. Po każdym razem należało liczyć i krzyczeć:

- Miło! lub ku chwale ojczyzny!

Nie było takiej osoby, która by z tego powodu zgłaszała pretensje. Mimo, iż oficer polityczny podpytywał tu i ówdzie nikt nie puścił pary zębami.

Takich cielesnych „rewelacji” w repertuarze było więcej. Do nich zaliczał się również „parol”. Do głowy, na wysokość czoła przykładano się dłonią. Palec środkowy odciagało się do tyłu i puszczało. Pół biedy jak robił to laik. Gorzej było, gdy wykonywał to rolnik wcielony do wojska. Pamiętam jednego, lecz nie pamiętam nazwiska mistrza paroli. Chłop o zwalistej posturze z dłonią mi jak bochny chleba. Już samo przyłożenie jego dłoni do czoła delikwenta nie napawało optymizmem. Rozlegał się głuchy stuk, co tak jak walniecie kijem w arbuz lub dyni. Po chwili światło, które rozbłysło ci przed oczami gasło, a ty zaczynałeś dostrzegać jakie kształty. Czoło paliło jak oparzone, a sina przega wiadczyła, że nie był to sen. Raz kiedy nawet dowódca plutonu zapytał, co mi się stało. Wcześniej odpowiednio poinstruowany przez rezerwę, odpowiedziałem, że to od hełmu. Musiał wiedzieć o stosowanych praktykach, bo się tylko uśmiechnął, machnął ręką i znikł za drzwiami kancelarii. Nasza kadra, czyli dowódca kompanii, 2 dowódców plutonu i szef pogodzili się z rzekomo rezerwy po godzinie 15:00.

Był, co prawda oficer polityczny (dwa razy w tygodniu). Organizował spotkania, na których próbował co od nas wyciągnąć, co byłoby naruszeniem regulaminu obozowego. Chyba sam w swojej naiwności nie wierzył, że któryś z nas może się poskarżyć. Wcześniej u wiadomości przez rezerwy wiedzieliśmy, że taki donos spowodowałby nam urozmaicenie służby i okrył nas hałasem, ponieważ jeszcze w poprzednim roku nigdy nie doniósł. Na ogół widzenia z politycznym kołami czyły się pogadanki na temat osignięć socjalizmu i jego wyzwanie nad imperialistycznym Zachodem. Zostawiał pokątnie stos „ożnierza Polskiego” „ożnierza Wolności” i zapewnienie, że do niego można się zwrócić bez drogi służbowej bez wyciągnięcia konsekwencji. Podczas mojej służby obozowej nie dane nam było tego sprawdzić.

Kipi kasza...kipi groch...

Poza wartowniczą służbę były i inne służby. Do jednej z nich zaliczała się służba na kuchni. Wbrew pozorom do łatwych nie należała. Wyznaczeni do prac pomocniczych musieli już wstawać o czwartej rano. W zimnej i wilgotnej kuchni trzeba było napełnić kotły wodą, a następnie odkręcić parę. Kiedy woda zaczynała bulgota robiło się ciepło. Godzinę później pojawiali się kucharze. Wrzucali po kilka opakowań kawy zbożowej do kotła i przystępowali do swoich czynności. Było to krojenie na kilkucentymetrowe odcinki kiełbasy, którą od czasu wzięcia na małą sklepową wadze, aby norma się zgadzała. Rzecz jasna, że każdy z nas mógł się przy tym najechać do woli. Inni zaś dzielili kostki masła na ośmiu, inni zaś przygotowywali pojemniki z żywnością do wydawania. O szóstej rano pojawiał się oficer dyżurny jednostki na niadanie. Nigdy nie jadł tego, co było w jadłospisie. Zawsze jeden z kucharzy smażył mu jajecznicę z kiełbasą, czy przyrzęcał smażyć z cebulką lub wedle specjalnego życzenia. Odchodził po 30 minutach chwycić sobie zjedzony posiłek. Pół godziny później pojawiał się kwatermistrz. Sprawdzał poprawność przygotowanej żywności do wydania, wtrącił swoje trzy grosze i zniknął na 2 – 3 godziny. O godzinie ósmej pojawiała się nasza kompania wraz z innymi. Jeden z pomocy kuchennej nalewał kawę, niekiedy herbatę. Kucharze wydawali resztę pożywienia. Było to sprawnie zorganizowane, a cała czynność wydawania niadania nie trwała dłużej niż 30 min., a trzeba pamiętać, że do niadania zasiadało ponad 500 osób z pięciu kompanii. Po dziewiętej w zasadzie na stołówce nie było już nikogo. Człowiek w służbie kuchennej sprzątał stoły, stołówki. Drudzy myli talerze i kubki. Trwały przygotowania do obiadu. Ziemniaki były wcześniej oskrobane przez wyznaczonych przez podoficera dzień wcześniej. Należało je tylko przetrząsnąć do kotła. Roboty było dużo. Trzeba było pomóc kucharzom przy gotowaniu zupy, smażeniu kotletów mielonych potocznie zwanych granatami, pieczeniu wołowej (zelówka), czy przyrzęczeniu surówki. Na godzinę 13:00 wszystko musiało być gotowe. Wtedy też pojawiał się kwatermistrz w towarzystwie lekarza jednostki. Próbowali jedzenia i zezwalali na wydawanie obiadu o 13:30. Procedura niczym nie

ró niła si od porannej podobnie jak i pora wydawania kolacji. Na koniec dnia, po zako czeniu słu by, ka dy z nas wracał na sale z poka nym ładunkiem jedzenia. Najcz ciej były to konserwy rybne, których wojsko nie tolerowało, nie wiedz c, dlaczego. Dla mnie miało to znaczenie i sentymtalne, poniewa wszystkie zostały wyprodukowane w moim mie cie rodzinnym. Dzisiaj w 2007 r. nawet ład nie pozostał po do poka nych zakładach rybnych.



Nawet w rezerwie wmawiali nam, e wódka to nasz wróg, dlatego dzielnie stawiali my jej czoła, jako nieustraszeni obro cy Ojczyzny. (zdj cie z archiwum Autora)

Pewnego razu pełni c kuchenn słu b , a ju był nowy pobór, zgarniałem resztki bigosu pozostawionego na talerzach do metalowego wiadra do poka nych rozmiarów. Wkrótce te na stołówce pojawił si olnierz ze wie ego poboru z zapytaniem, czy mo e zabra dla kolegów bigos, który ewentualnie pozostał. Kazał o to zapyta si jego dowódca dru yny. Wiadro z resztami bigosu stało na stołówce. Ułatwiało mi to sprz tanie resztek, a puste talerze układałem na stole. Powiedziałem do niego:

- Poczekaj!

Udałem si na kuchni , aby zapyta kucharza czy jest taka mo liwo . Okazało si , e pozostało sporo. Odkrzykn łem przez okienko do wydawania posiłków:

- Dobra jest!

Wdałem si w rozmow z kucharzem. Kiedy po kilku minutach znalazłem si ponownie na stołówce nie było ju „młodego” i wiadra ze zlewkami. Widocznie

zabrał je ze sobą. Kiedy po godzinie odniósł z podziękowaniem od plutonu umyte wiadro, ani słowem mu nie wspomniałem, że najedli się resztkami. Jego nadgorliwość na szczęście im nie zaszkodziła, a cała sytuacja nigdy nie wyszła na jaw. Wiedzieli o tym tylko kucharze i kuchenna pomoc. Na wieczór obsługa winiarni nawet nie podejrzewała, że ich podopieczni otrzymali pełnowartościowy bigos, a nie zlewki, które zjadło młode wojsko. Również sporo pracy na kuchni było, kiedy na śniadanie były gotowane jajka lub wędzone piklingi. Za żadne skarby nie cieszyły się powodzeniem. Ba, jakby tego było mało fruwały po stołówce ku naszemu utrapieniu. Ile było po tym sprzeczanie i złorzeczenia wiesz ci, co z podobnym problemem mieli w wojsku do czynienia.

O wiele ciekawsza była wyprawa po prowiant do magazynów głównie ciowych marynarki wojennej. Ci śmieszni „Star” podjeżdżali pod rampę i zaczynali my załadunek. Czego tam nie było. Poczciwsi od wiejskich półtuszy, udarów wołowych, kiełbas, konserw, worków grochu i fasoli, po konwie ze śmietaną. W drodze do jednostki opychali się wiejską kiełbasą popijając śmietaną. W ten dzień nikt z nas na stołówkowe jedzenie się nie skusił, a co najwyżej zorganizowanymi kiełbasami piekł na sali, na metalowym drucie w drzwiach kaflowego pieca.

Była jeszcze kantyna żołnierska. Do przysięgi nie było nam wolno chodzić. Najbardziej który z rezerwistów brał od nas pieniądze i dokonywał zakupów. To, że nas obronił przy tym niemiłosiernie nie miało znaczenia. W kantynie znajdowała się oranżada, ciastka, przybory higieniczne i mała salka, w której najczęściej odbywały się odwiedziny. Nie przypominam sobie, aby któryś z żołnierzy z powodu niedojadania kupował konserwy czy inne pożywienie. Przeciwnie, jedzenie było pożywne i smaczne, wystarczy dodać, i przez cały okres pełnienia służby, kasz tak samo z wojskiem - podano zaledwie kilka razy. Szczególne znaczenie miały wieczerze Bożego Narodzenia spędzane w wojsku. Miałem to przyjemnie spędzać w koszarach. Mała choinka znajdowała się jedynie przy stoliku podoficera. Na sali świątecznych wieczerznych akcentów być nie mogło. Podobnie rzecz miała się z pasterkami. Mimo to, wyczuwało się świąteczny nastrój. W te świąteczne dni świątecznych zajęć nie było, tak jak nie ogłaszano pobudki. Jednak nikt nie wstawał później niż godzina 7 rano. Smutne, nostalgiczne to były wieczerze. Kiedyś myślimy byli w rodzinnym domu, rezerwa chyba też, bo w ten dzień, na nikim się nie wyżywała. Uroczysta kompanijna wigilia na stołówce rozpoczęła się od przemówienia dowódcy kompanii i polityka. Następnie łamano się opłatkiem najczęściej przysłanym w listach. Menu wieczerznych stołów wyglądało następująco: ledzie w oleju i śmietanie, sałatka ziemniaczana, lepsza gatunkowa wędlina, babki drożdżowe, kapusta i barszczyk. Śniadanie i obiad wieczerznych również wyróżniał się od dnia codziennego. Wolny czas najczęściej spędzaliśmy na wietlicy, grając w warcaby, szachy, oglądając telewizję. Niektórzy woleli ten czas przepaść. Po południu znalazł się alkohol. W tym czasie, kiedy ja odbywałem służbę wojskową piło się i to sporo. Bywało i tak, że gdyby w razie alarmu zarządzono zbiórki, to tylko młode wojsko byłoby w stanie stanąć na

zbiórce. W alkohol zaopatrywano się w pobliżu jednostki, na melinie. Brało się najczęściej tzw. „eliksir”. Tak dokładnie to nikt nie wiedział, z czego się to co produkowało, wystarczy jedynie nadmienić, że jak kropla tego specyfiku spadła na buty, to robiła się biała plama, trudna do zapastowania. Ja kiedy tę do wiadczyłem siły jego działania. Po wypiciu dwóch butelek straciłem na kilkanaście godzin wzrok. Podobnie moi koledzy, ale z picia „mózgotrzepa” nikt nie zrezygnował. Pogadanki o szkodliwoci picia nie przynosiły rezultatu, przeciwnie potęgowały w nas przez wiadzenie, że sprzyja to zabiciu wolnego czasu. W wojsku nie może być go za dużo, ponieważ żołnierzowi głupie myśli przychodzi do głowy. No to, aby nie przychodziły topili my je w alkoholu. Którego dnia, a byłem już żołnierzem z rocznym stażem wraz z sześcioma młodymi pojechałem jako dysponent wozu po prowiant do portu. Po załadowaniu pozostała nam chwila czasu. Jadąc po kolei do Grabówka, gdzie znajdowała się pralnia, kazałem na chwilę zatrzymać się przy sklepie spożywczym. Kupiłem dwa piwa. W tym momencie, który z młodego rocznika, zapytał czy mogę wypić po jednym piwie.

- Po jednym tak – odpowiedziałem i ruszyłem do szoferki.

Zeskoczyli w tym czasie z wozu i weszli do sklepu. Kiedy czyłem dopija drugie piwo, kiedy wyszli się ze sklepu. Nic podejrzanego nie zauważyłem, a oni sami utwierdzili mnie w przekonaniu, że wypili po jednym piwie. Po załadowaniu czystej postaci i zdaniu brudnej ruszyli my do jednostki. Kiedy mijali my bramę wjazdową, zatrzymał nas oficer dyżurny. Zameldowałem skąd wracamy. Machnął ręką i kazał nam podjechać pod magazyn. Jakie było moje zdziwienie, a po chwili ogarnęła mnie wściekłość. Jeden z bratych z nami żołnierzy nie mógł stać na własnych nogach i o własnych siłach. Byli kompletnie pijani i nic do nich nie docierało. Na pluton zaprowadzili ich koledzy, a rozmowa z nimi w ten dzień nie była możliwa. Nazajutrz, kiedy doszli do siebie, przyznali się, że kupili sobie po flaszkę wódki, którą wypili na pace samochodu prosto z butelki. Stracili moje zaufanie, a ja za pomocą rezerwy ganiałem ich po placu apelowym, w celu wybicia niecznych zamiarów. Po trzech godzinach ganiań w maskach byli ugotowani, a na moje pytanie:

- Jak się czuj – odpowiedzieli, że dobrze.

Kazałem im wracać na salę, a ja na przyszłość miałem dobrą naukę, że trzeba mieć oczy w głowie i dużo... nie, aby wszystko kontrolować. Sam szef kompanii nie zakazał picia, bo jak mówił: Pić można, sztuk jest nie dać się złapać.

Kilkakrotnie uczestniczyłem w uroczystej odprawie wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Zawsze dla nas jako żołnierzy ceremonia zapadała w pamięci i wzbudzała emocje, kiedy widzieli my siebie w telewizji. Kiedy po rozprawieniu wart na skwerze Kościuszki, podeszła do mnie para w średnim wieku. Od razu zorientowałem, że są to cudzoziemcy. Kiedy dowiedziałem, że są z Niemiec Zachodnich, powinienem ich zatrzymać i zameldować oficerowi dyżurnemu zgodnie z wytycznymi. Podobnie rzecz się miała z notowaniem zachodnich rejestracji aut,

parkuj cych lub wolno si poruszaj cych w obr bie sztabu. Nie zrobiłem tego, bo wzbudzili moje zaufanie, i za choler nie widziałem w nich agentów obcego wywiadu. Chcieli mie ze mn zdj cie. Zgodziłem si . W tle były krzaki a nie budynek sztabu. Otrzymałem od nich kilkana cie tabliczek czekolady, któr zajadali my si w tym dniu podczas pełnienia słu by. Rzecz jasna, e oficer pełni cy słu b dowódcy warty nie przypuszczał, i jego ołnierze zajadaj si imperialistyczn czekolad . Podczas pełnienia słu by na zewn trz budynku było si mimowolnym wiadkiem wielu wydarze . Ratowałem z opresji niewiast , której partner za pomoc pi ci wykladał swoj racj . Dostał w z by, fikn kozła, a za chwil , kiedy doszedł do siebie proponował mi wspólne picie wódki. Pognałem go w choler . Kiedy indziej dwóch m czyzn okładało brutalnie jednego. Pospieszyłem mu z pomoc , gdy siły były wyrównane, rozplłyn li si w mroku nocy. Którego razu kopuluj ca parka w pobliskich krzakach poprosiła mnie o ... papierosa. Jasne, e yczenie spełniłem, a przy tym łykn łem sobie solidnego kielicha. W pierwszy dzie wi t Bo ego Narodzenia pełni c słu b , otrzymałem tyle upominków, wr czanych na posterunku, e musiałem je układa na ziemi. Podchodzili do nas na słu bie mieszka cy Gdyni i wr czali bez enady małe paczuski. Wprawdzie regulamin słu by wartowniczej zabraniał przyjmowania czegokolwiek od cywili, ale w ten szczególny dzie , nikt si nie czepiał.

W grudniu 1978 r. wyszedłem do cywila, rozpoczynaj c kolejny etap mojego ycia...

Epilog

Okres 30 lat od zako czenia słu by wojskowej był czasem tworzenia, jak i burzenia. Jak ka demu w yciu wiodło si raz gorzej, raz lepiej. Do wiadczyłem na własnej skórze skutków transformacji, przewa nie negatywnych. Pozwoliło mi to jednak nabra dystansu do ycia, a szczególnie do ludzi, bowiem powiedzenie, e prawdziwych przyjaciół poznaje si w biedzie mo na mi dzy bajki wło y . Mam dorosłe dzieci, on , rybek i psa i nie posiadam. ycie nauczyło mnie jednego – pokory, niemniej uzmysłowiło te , e w obecnych czasach jest drapie ne i brutalne. Silniejszy po era słabszego, a wszystko to w duchu katolickiego wychowania, na które si tak wielu z nas lubi powoływa .

Wernyhora,
Warszawa 1979

Okres po wyj ciu z wojska, strajki, transformacja, małe stwo, bezrobocie - aktualnie w opracowaniu i ko czy si na roku 2009.